PAMIĘTNIKI
UMYSŁOWE

Wydawca

JAN ZE ŚLIWINA.

TOM I.

WILNO

Nakład i druk T. Glücksberga.

1845.

PAMIĘTNIKI

UMYSŁOWE

1.

PAMIĘTNIKI

UMYSŁOWE

ZAWIERAJĄCE

1. Pan Starosta Zakrzewski. 2. Opowiadanie stoletniego Kozaka Korzy przez Teodora Narbutta.

WYDAWCA JAN ZE SLIWINA.

Tom Pierwszy.

WILNO.

NAKŁAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.
KSIĘGARZA I TYPOGRAFA SZKÓŁ BIAŁ. NAUK. OKR.

1845.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.

Wilno, 1845 roku dnia 13 Października.

Sprawujący obowiązek Cenzora,
Kolleg. Assesor i Kawaler.
A. Muchin.

PAN STAROSTA

ZAKRZEWSKI

przez

SYLENTEGO KUBASIŃSKIEGO. (*)

(*) Niniejszy Artykuł ofiarowany Red. Pam. Umysł. przez znakomitego naszego Estetyka P. Michała Grabowskiego.

(Wyd.)

PAN STAROSTA ZAKRZEWSKI.

Wstęp.

O ćwierć mili od miasta Równego, z drogi wiodącej do Kustyna, po prawej stronie spostrzedz można wioskę nie wielką, zbudowaną na pochyłości wzgórza. Na samym szczycie pagórka, wznosi się drewniana cerkiewka, ze stromą kopułką i dzwonniczka, oto-

czona smętarzem wiejskim. — Po niżéj trochę, zaległy górę rozliczne budowy gospodarskie włościan i dziedzica, stopniowo jedne nad drugiémi dachy swe ukazujące. — W połowie góry, bieleje murowany dóm właściciela wsi, ocieniony kilką drzewami; — na boku po lewéj stronie: chaty wieśniacze i karczma; u stop domu, nieco po prawéj, stajnie i folwark, a na samym dole sadzawka, rzeźwemi zasilona źródłami, które się cisną z pod góry; daléj wesoła łąka przerznięta strumykiem, a za tém wszystkiém przeziera na tle obrazu w zafałdowaniu pagórków, cienisty ze starych lip, jesionów i grabów gaik, podszyty gęstą leszczyną.

W téj wsi nazwanéj Barmaki, mieszkał przed dwudziestą laty, dawny jéj

dziedzic, Szymon Zakrzewski, herbu Jastrzębiec, Starosta ostrzański. — Osobliwszy to był człowiek ten Pan Starosta, i tylu ludzi podobnych napróżnoby ktoś szukał dziś nie tylko na Wołyniu, ale i w całéj zapewne Polsce. Ten ciekawy szczątek Szlachcica polskiego z wieku Sasów, był rodem z Województwa płockiego, a przyszedł na świat w roku 1718. On i jego trzéj bracia, w hartownéj budowie ciała, mieścili wątek stuletniego życia. Nasz bowiem Szymon przeżył sto pięć lat wieku; drugi brat Eustachy Jenerał Adjutant i Buńczuczny hetmański, zmarł w setnym roku; trzeci Karol Marszałek Ziemi zakroczymskiéj, byłby pewno dożył wieku swych braci, jako najbardziéj krzepki pomiędzy niemi, lecz

został skłóty w czasach Konfederacji barskiéj, czwarty naostatek Ignacy, Podwojewodzy poznański doszedł lat 97. — Ci bracia żywe kłamstwo zadali Hanemanowi i całéj gromadzie lekarzy i moralistów, którzy życie skromne i wstrzemięźliwe, podają, jako rękojmię długiego wieku. — Nasi bowiem Zakrzewscy wszystko czynili wbrew przepisom Higieny, gdyż byli niepomiarkowanie do kieliszka ochotni, do waśni skorzy, do korda junacy, słowem: zawołani i słynni przed laty rębacze sejmikowi i dworscy.

Kiedym raz piérwszy miał zręczność poznać pana Starostę, miał on już wówczas lat około dziewięciudziesiąt, wzrostu był miernego, lecz nadzwyczajnie krzepkiego składu ciała. Wąz-

ka frędzelka siwych włosów na tylnej części głowy, od ucha do ucha przeciągała się, cala zaś czaszka naga i łysa, kilkunastu kres od szabel, nosiła na sobie piętna. Żywy rumieniec krasił twarz świeżą i jędrna, a wąs biały, pokręcał się w pierścienie. Że zaś były to pierwsze jego odwiedziny w domu, którego gospodyni jeszcze nie znał, wystapił więc strojno, wedle prawideł dawnej dworszczyzny: mial na sobie kontusz granatowy na wyloty, cięciwą obramowany, kuso podcięty; żupan siarczysty atłasowy, spięty pod szyją na brylantową spinkę; pas złotolity, szarawary ze szkarłatnege sukna, żółte safjanowe bóty; na palcu lewej ręki spory sygnet herbowy, ryty na krwawniku i białą czwororożną czapeczkę

z drobniutkim kasztanowatym barankiem, zawieszoną na rękojeści od karabeli w srébro kutéj i przypasanéj u boku na rapciach jedwabnych, przerabianych złotą nicią. W ubiorze, w stąpaniu śmiałém, w żywych ruchach, przebijały zarazem powaga i rubaszność. Wzrok tylko nieco przytępiony i czarna taftowa mucha pod lewém okiem, zakrywająca fistułę, skutek kilkodziesięcioletniéj bachusowéj libacji, świadczyły, że i w niepożytéj starością budowie, znalazły się słabsze miejsca jak owa pięta u Achilla.—Co zaś miał szczególniéjszego w sobie, to kształt nader wydatny piersi. Głos też jego zawsze donośny, gdy go natężył wołając, rozlegał się jak trąba, i o ćwierć mili mógł być słyszany. — Miał zaś zwyczaj wszcl-

kie uczucia swoje, jako to: radości, zadziwienia, gniewu, wykrzyknikiem objawiać; nałóg ten, był mu wspólny z innymi bracią, i dla tego, nadano im niegdyś przezwisko *krzykaczy Zakrzewskich*.

Gospodarz domu, w którym zjechałem się z panem Starostą, był starym jego znajomym, jeszcze z owych czasów, gdy szwadronem kawalerji narodowej, w partji ukraińskiej dowodził; pan Starosta zaś, dobra dzierżawą trzymał od Lubomirskich w Śmilanszczyźnie i od lat trzydziestu nie widzieli się z sobą. A więc, według dawnego obyczaju podano wina. Szły gęsto spore kielichy Węgrzyna, rozmawiano o lepszych czasach, o starych znajomych i przyjaciołach.

— Czy pamiętasz panie Półkowniku— rzekł Starosta, — jakeśmy to w Zabotynie z waszym Brygadjerem, Dzierżkiem, dokazywali? Waszeć jeszcze młody byłeś i do kolejnego nie stawałeś, boć to między nami podobno o trzydzieści lat różnicy, ale za to bardzo żwawy i zaderwisty z sampana był chłopak. —

— O! pamiętam mości Starosto, wszakci to ja byłem podówczas Adjutantem Brygady. Nasz Dzierżek, arcy-sumienny był do kielicha i mawiał o sobie, że z nim w nocy nawet pogasiwszy świéce na śmiało pić można, bo nie zdradzi przyjaciela, a za kołnierz nie wyleje.

— Ho! mieliście panie Marcinie takich sumiennych dużo; — Poczciwy tylko mazur Drohojewski wasz Wice-Bry-

gadjer, był jeden, który nie pijał, bo mu zdrowie nie dozwalało: ależ za to męczył was narodowców na musztrach i do karności wojskowej naginał.

— Ten, mości Starosto, był dobry i wzorowy żołnierz, aleśmy go zbyt prędko stracili: umarł bowiem na suchoty.

— Nie dziwota, mospanie, bo zaniedbał odwilżać się. Ej czy też przypominasz sobie mój Dobrodzieju, jaką to ja raz szóstką tarantów zajechałem do Dzierżka? O! jak dziś pamiętam podobały się wszystkim, ale cóż bo to za felowne i urodziwe były rumaki! a jak doskonale maścią dobrane, kula w kulę, a jak dzielnie najeżdżone! Sześć koni parami wzdłuż bez forysia, od jednego tylko woźnicy z kozła pędzonych, a tak sfornych; to cug nie lada! — Pamiętam,

jak je przejeżdżano, po obszernym zabotyńskim dziedzińcu, jak wielkim rozpędzone kłusem, rysowały po trawniku ósemki, których lepiéjby i pojedyńczy harcownik wypisać nie mógł. Dało to powód do potężnéj pijatyki, w któréj nie tylko pana Starosty zdrowie wychylano duszkiem, lecz i woźnicy i każdego taranta po kolei, a nawet podobno każdéj nogi końskiéj po szczególe. Ależ na ostatku, dały się we znaki pięknym tarantom owe oklaski, bo na dobitkę siedliście państwo z Brygadjerem oba tęgo podchmieleni do kolasy, każąc wypuszczać co siły i zawracać to na lewo, to na prawo, dopokąd aż poplątane w szorach konie nie popadały i powozu nie wywróciły.

— Ho! jakoś mój Dobrodzieju, obeszło

się bez szwanku, pasy się tylko zerwały. Przedałem poźniéj tę moję szóstkę Xięciu Xaweremu Lubomirskiemu, jak się miał żenić z Potocką, dal mi za nią 600 czątych. A czy pamiętasz panie Pułkowniku, jakeśmy się skłócili po pijanu i wyzwali z Trzaskowskim?

— Czemu nie, Mości Starosto, i gdyby nie Drohojewski się wmięszał, jużeście się brali do pistoletów. — Ale Wice-Brygadjer rozprowadził was po stancjach i przydał straż każdemu do drzwi.

— O! tak mój Dobrodzieju! Ja jednak nazajutrz raniutko wykradłem się oknem za miasteczko i ztamtąd wyprawiłem zawiadomić Trzaskowskiego, że czekam na placu z pistoletami na rozesłanéj burce. Ale Drohojewski przybywszy na miejsce, tyle na nas wymógł,

żeśmy się pojednali i rękę na zgodę przebili. — Pocieszna to była postać tego Trzaskowskiego: dorodnego wzrostu i okazałej postawy chłop, a na łbie, wąsach i brodzie, ani jeden mu włosek nie wyrastał. — To też kiedy poźniej zamieszkał nad Dniestrem, a handlarze tureccy przybyli do niego za kupnem masła, zdumieli się na widok tej krągłej i nagiej głowy i twarzy bezwłosej. A biorąc go za jakieś olbrzymie dziecko, jeden rzekł zepsutą ruszczyzną: „*mołoda bude wełyka*“ drugi zaś na gorszy wpadając domysł, odpowiedział mu: „*niet on werno Kislar-aga Lackoho Hana.* „Wypchnął ich rozgniewany Trzaskowski. Ale, ale, nie zapomniałżeś mój Pułkowniku o owéj przygodzie w Korsuniu, P. Antoniego Strzemieńca?

— A to była komedja, mości Starosto, naśmieliśmy się do woli z naszego kolegi. Wszak to on wracając nocą do swéj kwatery od Brygadjera, u którego na wieczerzy dobrze pociągnął, że było błoto po dészczu, pośliznął się i wpadł w dół koło cegielni, a nie mogąc wydobyć się, usnął tam szczęśliwie na miękkiém. Przebrana miara w winie, sprawiła, że pies wietrzący posiłku, zaczął mu twarz oblizywać. Rozmarzony P. Antoni, mniemając że to balwierz mydli mu brodę, rzekł nie otwierając oczu „tylko ty żydzie ostrożnie z brzytwą, żebyś mię nie skaleczył.“ — Usłyszawszy przechodzący ową przestrogę daną kundlowi, wydobyli pijanego z jamy i odprowadzili do domu, ale tajemnicy nie dochowali.

— Ho! mój Dokrodzieju! ten pan Antoni Strzemieniec, mniéj podobno był ochoczy do wojennego szyku, niż do szklanicy. Ale za to, zawołany gospodarz i pięknego przydybał grosiwa,— Dzierżawił on, jak większa część waszych narodowców z ukraińskiéj partji, znaczne dobra, od Pani Sołtykowéj Starościny zwinogrodzkiéj i ubawił mię sposób, jakim wyciskać kazał raty karczemne, od opieszałych albo wykrętnych arendarzy. Nie grabił ich, nie zabierał ruchomości, ani żadnych gwałtów nie wyrządzał, ale wymyślił rodzaj exekucji śmieszny a dokuczliwy. Do żyda albowiem, na którym rachowała się zaległość, posyłał zwykle dwóch folwarcznych Kozaków, nauczonych co robić mają. — Ci przyszedłszy do karczmy,

pozdrowili naprzód gospodarza, mówiąc mu: *Pane arędaru, rata.* — Nu, herste, poczekajcie dobre, ale rata — przekąście ryby panowie Kozacy. — *Podawaj ale rata.* Podjadłszy, szli mu dziękować, wrzeszcząc *rata!* w obie uszy. Ta nieszczęśliwa rata tętniła dzień cały w głowie nierzetelnego Izraelity; bo Kozacy luzując się na przemiany, co chwila wołali nad nim *rata, rata, rata,* i raz pojedyńczo, to znowu dwugłosem, powtarzali mu tęż samą piosenkę. Gdzie się tylko żyd obrócił, ona mu wszędzie nieodstępna była towarzyszka, jak zbrodniarzowi wyrzuty sumienia. Szedł mu ją Kozak przypomnieć w komorze, złazil za nim z ratą do piwnicy, gramolił się w jego tropy do drabince, aby ją żyd usłyszał pod strychem. — Gdy

zmęczony Judaszek zabierał się do spoczynku, na dobranoc huknęli mu Kozacy, *rata*! W pośród najsmaczniejszego snu, rozbudzony bywał odgłosem: *rata*! dobitnie w ucho zawrzaśniętym. Na dobry dzień słyszał *rata* i *rata*. Rzadko który ze starozakonnych, był tak upartym i zatwardziałym dłużnikiem, aby dotrwał do dnia trzeciego bez uiszczenia się Strzemieńcowi. Zapożyczył się na szyję, zastawił muszki żonine i świąteczny swój łapserdak, aby się tylko uwolnić od natrętnej kozackiej raty.— Nie wiém też mości Dobrodzieju, czy żyje jeszcze poczciwy Czarkowski? Ten z was najstarszy był wiekiem, ale za to i najmajętniejszy.

—Już od lat kilkunastu przeniósł się do wieczności.

— Szkoda go, zacny był człowiek i żartobliwy przytém, a chociaż skrzętny, jednakże dopomódz przyjacielowi lubił. Pamiętasz P. Marcinie, jakeś mu się odciął, na owym obiedzie u Tyszkowskiego? Gdy on dworując z twego młodo gospodarskiego zasobu i nie opatrznéj śpiżarni, rzekł: „wy wiecie że u naszego Chorążego, zdechł pies na kuchni z głodu“? „Istną prawdę mówi P. Porucznik — odpowiedziałeś — chciałem już w niedostatku lepszéj strawy, tego psa kazać sobie ugotować, ale mię uprzedził kucharz Jegomości i zabrał go na pieczeń dla swego pana.“ — Powstał śmiech powszechny, — masz za swoje Czarkowski, — a wy oba uściskaliście się serdecznie.

— Pomnę ja mości Starosto nierównie

lepiej uczynną jego dla mnie przyjaźń i ojcowskie przestrogi. Młody, nie rachunkowy, lubiłem się stroić i występować. Zabrakło pieniędzy, więc do Czarkowskiego: pożycz sto dukatów! — Pożyczę rzekł, ale nie inaczéj, aż mi dasz na siebie kartę, którą ci sam podyktuję. Naglony potrzebą, siadłem do pisania owego cyrografu, który był następującéj treści: „Niżéj podpisany pożyczyłem od W. Czarkowskiego, sto czerwonych złotych ważnych holenderskich, które za rok wypłacić powinienem bez procentu, ale natomiast przyrzekam i obowiązuję się uczciwém słowem oficerskiém, że odtąd więcéj ani fręzli i haftów na czapraku czepiać, ani szérszych galonów i zawiesistszych sznurów i kutasów u munduru nosić niż jest prze-

pisano wojskowemi ustawami nie będę i od wszelkich nadal niepotrzebnych, a zbytkowych wydatków, wstrzymywać się mam.“ Podpisałem z ochotą takie z obowiązanie się, a nauka wyszła mi z czasem na dobre.

— Kogo mi szczególnie żal dotąd Panie Marcinie, to waszego Dunikowskiego. Co to był za urodziwy młodzieniec a jaki szykowny i towarzyski chłopak, opowiadano zaś, że i wojak z niego był niepospolity.

Był to, Mości Starosto, najlepszy mój kolega i przyjaciel, żyliśmy z sobą jak dwaj bracia. Ile był piękny z postaci, tyle słodki w obcowaniu i nader szlachetnego a odważnego serca. Znalazł też śmierć godną walecznego żołniérza, bo zginął na szwedzkich baterjach pod War-

szawą, dowodząc Brygadą w czasie powstania 1791 roku.

Wśród takowych rozmów, nie próżnowały kielichy, a coraz nowe wymyślano zdrowia i wiwaty, jako to: pana Starosty! Gospodarskie! Ukontentowanie służenia w domu moim panu Staroście! Gospodyni! Nieobecnéj pani Starościny Dobrodziki! Konsolacji JW. Starosty, Konsolacji W. Pułkownika! Zdrowie poczciwych! Serce i łaska pana Starosty! *Szczoby łycha ne znaty*! Wiwat kochajmy się! i naostatek: kto nie pił na wsiadaném, jakby nic nie pił! Ten toast spełniono raz w sieni, powtórzono na ganku, a trzeci raz, już w saméj kolasce, do któréj wsadzono podchmielonego P. Starostę, w czasie, gdy pijany gospodarz wgramoliwszy się

na stopień powozu, od dwóch służących pod ręce był utrzymywany.

Nieraz mi się potém zdarzało bywać w domu P. Starosty w Barmakach i być świadkiem jego szumnéj staropolskiéj gościnności, chociaż mnie, jako zbyt jeszcze młodego od kielicha uwalniał. Gdy zaś sami tylko domowi siedzieli u stołu, miał zwyczaj, wziąwszy w rękę piérwszy kielich wina, każdemu z obiadujących oświadczyć po kolei, iż pije za jego zdrowie a potém obracał się do starego sługi, który za jego stawał krzesłem i którego, choć już miał lat 60, chłopcem nazywał, mówiąc: Janku! twoje, zdrowie. A naostatek odchrząknąwszy i zbliżając kielich do ust, odzywał się: Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Grzeczność jego dla kobiét, była peł-

na uszanowania, chociaż rubasznością zaprawna. Gromił rozpierającą się przy nich młodzież, wzbraniał palenia tytuniu w ich obecności. Przybywające zaś Damy do swego domu, szczególniéj te, którym był bardzo rad, witał zwykle na progu, a schwyciwszy na ręce, wnosił z krzykiem radośnym do bawialnego pokoju.—Te, którym piérwszy raz zdarzyło się zrobić podobny wjazd tryumfalny, przez sień, przedpokoj, jadalnię, na barkach pana Starosty, bywały trochę pomięszane nowością przywitania. Lecz dawno znajome sąsiadki, spokojnym umysłem przyjmowały tę owację.—Pamięć jego była zadziwiająca. Mało piśmienny i nie czytujący nic prócz Kalendarza, i złotego Ołtarzyka, nie mógł ani z książek, ani z domowych notat odświéżać wspomnień wypadków za-

szłych w ciągu długiego życia, ale karbował je niejako w swoim umyśle. Mniej mocny w datach, nazwiska osób doskonale pamiętał. Otwarty i szczery, jak ów Epaminondas, o którym nigdy nie słyszał, brzydził się kłamstwem, a prawdę każdemu w oczy mówił.

I.

Każdy w pijaństwie dziwne rzeczy broił,
August Sas Polskę do reszty rozpoił.

— *Krasicki. Myszeis, Pieśń X.*

W roku 1817 jadąc z Warszawy, wstąpiłem do Barmak. — A witajże! witaj mój dziarski chłopaku, — zawołał Pan Starosta, gdy mu wymieniłem moje nazwisko, bo już był prawie olsnął na oba oczy. Przybycie moje wprawiło jege w dobry humor. Posadził mię przy sobie a ściskając moję rękę, mówił: I ja też kiedyś mój Dobrodzieju byłem takim rzez-

wym, jak ty dzisiaj. Oj, dawne to już czasy! Pamiętam jak dziś, gdym był pierwszym Szatnym u dworu Wojewody kijowskiego Salezego Potockiego. Był to Pan możny i wspaniały, ale wielce dumny. Koło rycerskie miało się zbierać we Lwowie. Owoczesny Hetman wielki koronny, Józef Potocki, zwoływał tam wojsko do popisu Nasz Wojewoda chciał mieć koniecznie białego konia dla wjechania do koła. W stajniach pańskich w Krystynopolu było ich mnóstwo, ale między białemi żaden się nie znalazł dość okazały kwoli Pana Wojewody. Ja właśnie nabyłem nie dawno przed tém ślicznego cacę, wierzchowca tej maści od Kozierodzkiego który był Koniuszym u Wojewody Miera; przywiodłem go więc na rozkazy mego Pryncypała, który mi sowicie za tę moję przysługę wywdzięczył się, bo mi i konia dziel-

nego w sutym rzędzie, i pas lity i szubę kosztowną ze swego ramienia darował. Poźniej ów koń biały po różnych kolejach dostał się na starość w Warszawie do karéty Posła francuzkiego.

Owoż tedy wyruszyliśmy z Krystynopola z wielkim dworem i kawalkadą. Szły cugi, karéty, kolébki, bryki, konie powodne, nadworne wojsko, piechota, Janczary, dragonja, Rajtary i Kozacy z Półkownikiem swoim Ortyńskim. Był przy nim młody Assawuła przezwiskiem Gonta, urodziwy i praworny chłopak. Wpadł on poźniej w oko Panu Wojewodzie kijowskiemu, a że znalazł w nim gotowość na wszelkie rozkazy, więc polubiwszy go wzbogacił, nadal mu kilka futorow i mianował z czasem Półkownikiem humańskich Kozaków. Ten to sam rozwydrzawszy, tyle poźniej nabroił

w kraju. My dworzanie, jechaliśmy konno przy karecie Wojewody, a każdy z nas miał jednego lub dwóch barwianych pacholików. Taka ogromna karawana, nie łatwo po miasteczkach zmieścić się mogła. Wyprzątaliśmy karczmy nie tylko ze śmiecia ale i z żydów. Czwartego dnia nakoniec stanęliśmy pode Lwowem i rozbiliśmy namioty nasze obok innych, już tam obozujących wojsk komputowych, lekkich i nadwornych.

W dniu naznaczonym do popisu uszykowały się wojska na równinie za Lwowem, a zaszedlszy skrzydłami ogromny utworzyły okrąg. Nieco po dziesiątej zrana, przybył do koła JW. Hetman koronny, przeważna w kraju osoba i głowa możnego domu Potockich, w licznym orszaku magnatów, Senatorów, Regimentarzy i Rotmistrzów. Niesiono pzzed nim buńczuki,

znamiona i szachownice. On zaś sam starzec blizko ośmdziesięcioletni, odziany w lekką zbroję, szyszak i bogatą ferezję, trzymał w ręku wielką buławę suto drogiemi nasadzoną kamieniami, a konia pod nim prowadziło dwóch strojnych pajuków, dwóch zaś drugich postępowało przy strzemionach. Pan Wojewoda kijowski w gronie hetmańskiém wjechał do koła na moim łabędziu; a jako Rotmistrz hussarskiego znaku chorągwi swego imienia, był w pełnéj zbroi, i w hełmie z lamparcią skórą na barkach, którą spinał ogromny szmaragd. Koń zaś cały w żelazie z wiszadłami i czubami na łbie, złotą do ziemi okryty siatką. Insi też Panowie i majętna szlachta nie ustępowali w przepychu. Dalipan, było na co spojrzeć. Zbroje i pancerze świeciły się od złota, srebra i stali — a kity i zapony dyamentowe, a kosz-

towne i ozdobne burki, adamaszkami podbite, a rumaki jakie dzielne! (już teraz takich ani widać) a rzędy na nich jakie sute, sadzone perłami i turkusami, a czapraki i dywdyki ze złotej lamy lub drogich futer.

Tandem tedy JW. Wódz rozpoczął przegląd wojska zaczynając od poważnych hussarskich i pancernych znaków, a kończąc na lekkich chorągwiach i pułkach cudzoziemskiego autoramentu. postępował zwolna noga za nogą po przed szeregami czyniąc swoje uwagi, chwaląc, upominając, zachęcając. Niektórym chorągwiom komputowym odłamywać się gęsiego rozkazał, dla przypatrzenia się pojedyńczym jezdcóm. Oświadczył wreszcie zadowolenie i dowodzcom i towarzystwu. Bo też wszyscy wystąpili i butno i okazale. Ale wam młodym napróżnoby i opisywać co to był towarzysz hussar-

ski z kopją, lub pancerny z proporcem. Kto ich własnemi nie widział oczyma, to ani wyobrażenia mieć nie będzie, ani wiary nie da, co za przepych jaśniał w ich rynsztunku i stroju, choć nie było wówczas tej jednostajności w ubiorze i uzbrojeniu, która dziś znajduje się w wojsku.

Po skończonym popisie, magnaci zebrali się pośrodku, a JW. Hetman miał mowę, z której dla oddalenia nie wiele dosłyszałem, a prawdę mówiąc i nie wiele z niej zrozumiałem, gdyż była gęsto łacińskiemi wyrazami naszpikowana; ja zaś uciekłszy ze szkół jezuickich z Infimy, bom się uczyć nie chciał, nie pojmowałem tych mądrych rzeczy. I drudzy także panowie zabierali głos; każdy z nich niby to radził coś o dobru publicznem, ale teraz widzi mi się że oni poszepty własnej dumy więcej mieli na celu. Jakoż z naj-

większem podziwieniem usłyszałem, że wielki Hetman miał jakieś nieukontentowanie do Króla Augusta III, i to koło rycerskie zwołał dla poburzenia umysłów przeciwko Sasowi. Ale nie było z tej mąki chleba, bo Biskup krakowski, Jan Lipski, wdał się w to jako rozjemca, ułagodził Hetmana i jego stronników, a tak one knowania na niczém spełzły. Koniec końców rozjechaliśmy się jedni po gospodach, drudzy po namiotach, a potém każdy do swego dworu na lusztyki i obiady. Bankietowano tak dni kilka. Co wina, miodu, gorzałki wypito, to zlawszy w jedno, młyn by zamełł. I szable też nie próżnowały. Szlachta podchmielona kiereszowała się między sobą. — Nie byłem i ja lepszy od innych. Pamiętam, raz do winiarza, gdzie z kilku kolegami i przyjaciółmi biesiadowałem i byliśmy już dobrze pod hełmem, przyszedł niejaki Śliwiński ode dworu

Wojewody ruskiego księcia Augusta. A trzeba wiedzieć, że między partją Czartoryskich i Potockich było zawsze na bakier. Otoż mości Dobrodzieju, do owego Sliwińskiego, miałem prócz tego na pieńku, bo to była jakaś przemądrzała sztuka: gadał podobno po francuzku, a nas staroświeckich okiem przenosił.— Ja zaś tych szołdrów Niemców i tych *Monsie parle franse*, cierpieć nie mogłem. Dałem Jmu przeto zaczepkę. Słówko do słówka przemówiliśmy się grubo; więc do kordów. Natarłem na niego żwawo krzyżową sztuką. On to jakieś niby odbicia szermierskie zaczął robić, ale jakem go Mospanie palnął na odlew w łapę, to aż mu szabla wypadła z ręku a przy niej dwa palce na podłogę. Panie Boże odpuść, żal mi się go zrobiło, ale już po niewczasie. Szczęściem że był Cérulik nie opodal, opatrzył mu rany i i jak poźniej dowiedziałem się, wyli-

zał się z biedy. A że nauka nie idzie w las, przestał więc szlachtę posponować. Oj! tak, tak Mospanie, piliśmy przed laty i biliśmy.

— Pozwoli sobie Pan Starosta zrobić jedno zapytanie. Powiedziałeś Pan żeś był Szatnym u Wojewody kijowskiego, coż to za obowiązek?

— Mój Dobrodzieju! trzeba żebyś o tem wiedział, że staropolscy Panowie, nie byli to tacy jak terazniejsi co ich widzimy. Dzisiejsi niby to panowie, gardzą bracią szlachtą, bo im nie potrzebni, a radziby ich ze skóry obedrzeć. Nie pożywi się przy nich chyba jaki zawiadowca kluczowy, albo folwarczny i to kiedy dobrze o sobie pamiętać umie. A jak komu z obywateli wioskę drzierżawą puszczą, to tak wyciągną Inwentarz, że nie jeden co przyjechał kolaską, z biczem tylko częstokroć odchodzi. Dawniejsi Panowie

mając rozległe majętności, byli w stanie wojsko nadworne utrzymywać, a szlachtę uboższą wspierać i gromadami żywić koło siebie. Wprawdzie dla znaczenia w kraju i przewagi na Sejmach i Sejmikach, możno-władcy potrzebowali otaczać się licznym orszakiem stronników swoich. Stąd każdy szlachcic, a zwłaszcza kiedy był zuch i śmiały do korda, znalazł u Panów uprzejme przyjęcie, i starali się go zaciągnąć w poczet domowników swoich. Mój naprzykład ś. p. brat Karol był Marszałkiem dworu u księcia Ordynata Sanguszki, ale że to był zawadyja i sławny sejmikowy rębacz, więc Książe Podstoli Koronny Lubomirski, żeby go nie mieć przeciw sobie, a raczej za sobą, za to tylko że się pozwolił wpisać w poczet dworzan rowieńskich, dawał mu corocznie 1000 tynfów jurgieltu; chociaż nieboszczyk Ka-

rol w Dubnie ciągle przemieszkując, rzadkim bywał gościem rowieńskiego pałacu. Prócz braci szlachty, wielu też i możniejszych obywateli, Kasztelanowie i Podkomorzowie oddawali synów do dworu dla ogłady i okrzesania się. Ci się zwali respektowymi dworzanami, i nie pobierali jurgieltu, lecz tylko obroki dla koni i strawne dla sług; chudszym zaś Skarbnikowiczom i Podstolicom, dawano rocznie po pięćset tynfów, barwę i strawne dla pacholika i obrok na dwa wierzchowce. Krystynopolski dwór jaśniał między pierwszymi w Polsce, a Marszałkami bywali Książęta i Starostowie. Ale zboczyłem od rzeczy. Pytałeś mnie co miałem za powinność będąc pierwszym Szatnym? Obowiązkiem moim było assystować przy ubieraniu się Pana Wojewody. Miałem pod rozkazami dwóch Kamerdynerów, Balwierza i czterech barwianych pokojowców

którzy odziewali Pana; a po skończonym stroju, gdy już miał wychodzić na pokoje, moją powinnością było tylko przypasać mu do boku karabelę i podać soboli kołpak. Zwykle zaś Pan Wojewoda, gdy chciał wystąpić, karabelę srodze kosztowną, nosił na prostym czarnym rzemyku z surowca wyrobionym, który jednak nio był tak podłym jakbyś mniemał mój bracie, bo wysadzony był jak długi strumieniem soliterów. To mi przypomina owego Wilkołaka Starostę kaniowskiego, który aby się odznaczyć, przywdziewał czamarę z grubego pakłaku podszyta najdroższemi aksamitami, aby mówiono że *poznać pana po cholewach*. Owoż ja za tę moję posługę pobierałem rocznie 2000 tynfów i na dwóch pacholików barwę i strawne, a obrok na cztery konie.

— Nie wiele zaiste pracy miał Pan Sta-

rosta, rzekłem, ale też i wynagrodzenie było nie nazbyt hojne.

— Co mówisz mój Dobrodzieju? wiedz naprzód, że wartość owoczesna pieniędzy wyższa była niż jest dzisiejsza, a zaspokojenie potrzeb nierównie tańsze; a powtóre, za niczże to liczysz względy Pańskie?... Za nic urzędy ziemskie i wojewodzkie i Królewszczyzny za ich staraniem pozyskiwane dla zamożniejszych Dworzan, a dla uboższych żonki posażne wyswatane, wioski tanio wydzierżawione, w zastaw lub dożywocie oddane?... Umieli zaiste dawni panowie wynagradzać szlachtę, która się im dobrze zasłużyła, i dla tego to urosło owo stare przysłowie: *u wielkiego dworu klamki się trzymaj*. Ależ to już zwietrzałe dzieje. Ot lepiej powiedz mi Waćpan, co mi tam w tej waszej Warszawie porabiacie? Słyszę że miasto buduje się i ozdabia.

Możebym jéj dziś i nie poznał przyjechawszy, bo już kawał czasu minął, jakem tam był.

— A kiedyż Pan Starosta był ostatni raz w Warszawie? — zapytałem.

— Ho! mój Dobrodzieju, już lat temu kilkadziesiąt. Znajdowałem się na Sejmie konwokacyjnym, który poprzedził elekcję Króla Poniatowskiego.

— To było, rzekłem, w roku 1764, a więc już temu lat pięćdziesiąt trzy.

— Oj! tak, tak, zawołał, lata biegną, od tego czasu noga moja nie postała w Warszawie. Smutny to był ten ostatni nasz Sejm przedelekcyjny. Ja przynajmniéj z téj mojéj bytności w Warszawie, uniosłem w sercu słodką pamięć o dopełnionym świętym długu wdzięczności dla zacnego i czci godnego starego Hetmana Branickiego, nie tego z Białéjcerkwi, chowaj Boże! ale owego Jana Klemensa herbu Gryf

Branickiego, co to w Białymstoku po monarszemu mieszkał, a był i Hetmanem W. koronnym i Kasztelanem krakowskim. Ten dostojny Pan, a godny wnuk Stefana Czarnieckiego, któremu serca większej części narodu koronę przeznaczały, lubo się o nią nie starał, widząc na co się zanosi, i że sejmujące Stany, rade nie rade, tańcują jak im zagrają, chociaż był szwagrem Poniatowskiego i powinowatym Czartoryskich, jednak i z własnego umysłu i za poradą Jenerała Mokronowskiego, postanowił opuścić Sejm i wyjechać z Warszawy. Wedle praw istniejących, Sejm ten już był zerwany przez Mokronowskiego, i stary Marszałek Małachowski uniosł laskę z Izby poselskiej. Ale przemożne stronnictwo, które rej wodziło, nie chciało tego przypuszczać, a wybrawszy nowego Marszalka, zagroziło Hetmanowi W. ko-

ronnemu, że zostanie przytrzymany, jeżeli poważy się oddalić przed zakończeniem Sejmu. Ale Sędziwy Gryf nasz wzgardził pogróżkami, a zebrawszy dwór swój, przybocznych Janczarów i Węgrów, i nieco komputowego wojska, kazał gotować się do podróży. Gruchnęło pomiędzy szlachtą że gwałt ma być wyrządzony dostojnej osobie starego Hetmana. Ja, brat mój Karol i Tressemberg przyjaciel nasz, zagrzaliśmy i zebrali około pięciuset szlachty i poprzysięgliśmy, że gdyby do tego przyszło, tedy przebojem uprowadzimy Hetmana na bezpieczne miejsce. Stało się. Wyruszył Branicki ze swego pałacu na Podwalu z licznym orszakiem, do którego wielu Senatorów i Posłów koronnych i litewskich i my bracia szlachta przyłączyliśmy się wszyscy konno i zbrojno, gotowi przemoc przemocą odeprzeć. Jam jechał tuż przy karécie Hetmana, któremu

i żona w podróży towarzyszyła. Za Mokotowem, stało obozem wojsko rozłożone o pół strzału karabinowego po nad drogą, i żołnierze pod bronią uszykowani czekali przy samym okopie. Posuwaliśmy się zwolna w milczeniu i porządku. Nie pozdrowiono się wprawdzie nawzajem, ale widać że zaczepne rozkazy nie były dane, bo nam spokojnie i swobodnie dozwolono dalszą ciągnać podróż.

Zatrzymaliśmy się na nocleg w Piasecznéj. Tam stanęła rada ogłosić Konfederację w Koronie pod laską naszego Hetmana, w Litwie zaś pod laską Księcia Wojewody wileńskiego. Nazajutrz o świtaniu rozłączyli się ci dwaj życzliwi magnaci: Radziwiłł *Panie kochanku* skierował ku swojéj Litwie, my zaś ruszyliśmy do Sandomierza, gdzie Hetman wojsku koronnemu i szlachcie naznaczył zebranie.

A tymczasem Sejm za oddaleniem

się tylu Senatorów i Posłów, zaledwo czwartą część głosów liczący, gwoli nieprzyjaciół Branickiego odjął mu władzę hetmańską, poruczając Księciu Wojewodzie ruskiemu jeneralne Regimentarstwo, z rozkazem ścigania uchodzącego z pomocą nawet cudzoziemskiego wojska. Wysłani zatem w pogoń za nami Repnin z Ksawerym Branickim. Przyśpieszył kroku i nasz stary Hetman zdążając ku Sandomierzowi. Ale tam winą, wahaniem się i opieszałością Wojewody kijowskiego w nie rozesłaniu ordynansów i Uniwersałów zawiedziony został w swoich nadziejach, gdyż ani jedna Chorągiew na czas nie przybyła. Zrażona niepopowodzeniem szlachta, rozjeżdżała się coraz po domach; Senatorowie również zaczęli żegnać Hetmana, obiecując powrót w pogodniejszej chwili. Nie było czego dosiadywać w Sandomierzu, bo pogoń zbliżała się. Przeprawili-

śmy się więc przez Wisłę. Doścignięci i otoczeni, przebiliśmy się i cofnęli do Samborza. Lecz i tam długo popasać Hetmanowi Wielkiemu nie dozwolono. Ścigające go wojsko, pomnożone nowemi posiłkami, przecięło pasy Chorągwiom, które przecież spieszyły dla połączenia się ze swoim wodzem. Ku węgierskiej zatém granicey obróciliśmy kroki. W tym pochodzie, nieraz napastowani i okrążeni szablą torowaliśmy sobie drogę. Mokranowski nam przewodził i nieszczędził siebie, a ja też z bratem Karolem przy jego boku poszczerbiliśmy kordy kiereszując tych, co nam zastępowali na szlaku. Dobiliśmy się przecież do Spiża, gdzie wolen pogoni odpoczął sędziwy Hetman czekając dalszych wypadków. Tu dopiero opuściliśmy go ze łzami, rzewne od niego otrzymawszy pożegnanie. Karol mój udał się ku Mazowszu, ja zaś powędrowałem

ku moim Barmakom i ku nieboszczce mojej żonie do których już mi tęskno było. Siła już lat jak się to działo, ale obraz Klemensa Branickiego dotąd żywie w mojém sercu; bo i on też życie mi darował. I jeżeli dziś mój przyjacielu, widzisz przed sobą stuletniego prawie starca, tedy po Bogu, jego to ludzkości, przebaczeniu winy i miłosierdziu obowiązany jestem.

— Niech mi daruje Pan Starosta, że go utrudzam pytaniami mojemi, ale ciekawy jestem, jaką to łaskę tak wielką wyrządził panu dawny Hetman Branicki?

— Mój Dobrodzieju! odwieczna to historja burzliwej mojéj młodości i szaleństwa, i nie wiele przynosi mi zaszczytu. Ale przed tobą wyspowiadam się chętnie, bo wiesz jak to starzy radzi bzdurzyć o przeszłych czasach i wspominać dzieje junactwa swego.

Tandem tedy, było to jakoś w pierwszej polowie panowania Króla Sasa Augusta III. Przybyliśmy do Warszawy z Panem Wojewodą kijowskim Potockim. Jak zawsze tak i wtedy miał on dwór liczny. A że pałac Potockich na Lesznie nie mógł nas wszystkich pomieścić, stanęliśmy więc gdzie kto mógł gospodą. Przyjaciel mój i kolega Zborowski wynalazł sobie stancję opodal na Lesznie, ja zaś na orlej ulicy. Owoż tedy poszedłem go odwiedzić. Zebrało się nas kilku, dalejże lusztykować! Na nieszczęście piliśmy piwo angielskie, ja bowiem ilekroć podchmieliłem sobie tém piwem, zawsze bywałem obraźliwy i szukający kozery. Przyniosło nam licho niejakiego Kasztelanica Zielińskiego. Służył on u tegoż co i my dworu; ale był to sobie paniczyk, do którego dawną już miałem ansę, bo kiedyś wziął przedemną

krok w polskim tańcu, a drugim razem do Mazura capnął mi z przed nosa prawie pannę Podstolankę wendeńską. Że zaś ja posunąłem się był ku ławie, na której siedziała w postawie zapraszającej, musiałem więc żeby nie odejść z kwitkiem, wziąść do tańca obok siedzącą opasłą Ochmistrzynię, co mi ściągnęło kilka szyderskich żarcików ze strony panien. Na pokojach pańskich wzniecać kłótni nie wypadało; namotałem więc to sobie na wąs do sposobniejszej pory obliczenia się ryczałtowo z tym gagacikiem. Sam mi ją właśnie nastręczył, bo w rozmowie coś mi przeciwić się i przycinać zaczął. Ja z natury nie bardzo cierpliwy, a po angielskiem piwie łaskotliwszy jeszcze, powiedziałem mu wręcz, uczciwszy uszy: *milcz błaznie*! Porwaliśmy się za barki, przyjaciele wpadli, rozerwali nas, a widząc żem się rozjadł ze zło-

ści, wyprowadzili z izby pana Kasztelanica odgrażającego się do jutra, mnie zaś rwącego się za nim przytrzymano. Ale ja długo nie mogłem się wysapać, prosiłem więc Zborowskiego, aby mi dał swego wierzchowca dla przewietrzenia się po mieście i ukołysania gniewu który wrzał we mnie. Przyprowadzono mi konia. Był to, jak dziś pamiętam cisawy kasztan z gwiazdką na łbie, obie zadnie pęciny białe, chrapy otwarte, nogi suche i sprężyste, ogon lekki i odsadzony, słowem: toku i porody tureckiej. Aże Zborowski liczył się równie jak ja za towarzysza w chorągwi pancernej, więc i koń był w rzędzie wojskowym, a w olstrach u łęku znajdowała się para pistoletów na moję biedę nabitych kulami. Dosiadłem tedy owego kasztana, a że rumak był dzielny, zacząłem więc harcować po ulicach. Dzień miał się już ku schyłkowi i ni-

mem dojechał do krakowskiego Przedmieścia, dobrze już zmierzchać zaczęło. Naprzeciw będnarskiéj ulicy, gdzie przesmyk najwęższy, spotkałem jakąś ogromną kawalkadę, otaczającą z przodu, z boków i z tyłu karetę w któréj zapewne jakiś magnat siedzieć musiał. Laufer z zapaloną pochodnią biegnący przodem, wołał: *z drogi! z drogi!* ale ja zajmując na moim dżanecie sam środek wązkiéj ulicy, możebym i Prymasowi i Sasowi nie ustąpił z drogi. Zwarłem tedy rumaka wędzidłem i łydką i w podsadach ruszyłem wprost. Laufer poufały, widząc że mu nie umykam na stronę, uderzył mi konia rozpaloną pochodnią i osmalił połę od mundurowego kontusza. Ha! do stu katów! złość mię wzięła. Wrzasnąłem na całe gardło, i w mgnieniu oka, dobywszy korda, zwróciłem konia, natarłem na tego łotra Laufra i palnąłem go Mospanie po łapie tak, że mu pocho-

dnia z pięścią razem na bruk upadły. Zwalił się na ziemię kusy Niemiec. *Zabił! zabił!* krzyknęli assystujący konno przy karecie; *łapaj go! łapaj!* wołano i hurmem na mnie natarli. Ale rozjuszony już będąc, uderzyłem sam jeden na ten tłum, i jakem zaczął machać szablicą i w prawo i w lewo, nie dotrzymali placu, a podając tyl, oparli się aż o karetę. Tu mężczyzna siedzący w karecie wołać zaczął: *schwytać go! schwytać żywcem! konia skłuć pod nim!* Równałem się właśnie z drzwiczkami powozu, a nie pytając kto w nim siedzi, strzeliłem z pistoletu w okno kareciane. Dowiedziałem się poźniej mój bracie, że Hetman polny Branicki był w karecie, i że kula moja siedzącemu obok niego Jenerał Adjutantowi Czerniewiczowi perukę z głowy zerwała. Rozległ się okrzyk: *Zabił Pana Hetmana!!* Rzucono się do powozu, otworzono drzwiczki, a Hetman

i Jenerał Adjutant rozperuczony, wysiedli na ulicę; jam zaś zwijał się jak szaleniec pomiędzy ich orszakiem, rąbiąc i płazując każdego, co się nawinął. Wtém na rynsztoku związał mi się koń, i wtenczas podkłuto mi go spisą, ale nieszkodliwie. Co było gorszego, to to, iż mię poznano po głosie, któregom nie szczędził kiereszując szablicą, i zaczęto wołać: *to ten opętany krzykacz Zakrzewski!* Już nareszcie zaczęły mi przychodzić upamiętanie i rozwaga, żem za nadto przebarszczył. Towarzyszowi pancernemu strzelić do karety Hetmana! to pachło kulą albo mieczem. Umyśliłem więc zmykać ku Wiśle, i wpław ratować się na tamtą stronę. Dopadłszy zatém będnarskiej ulicy puściłem się na dół. Lecz ta hałastra z orszaku hetmańskiego, ruszyła za mną w pogoń wrzeszcząc: *ucieka ucieka! łapaj! łapaj!* Ha! pomyślałem sobie, te trutnie rozumieją że ja się ich

boję. Wstrzymałem więc konia zwróciłem, i Mospanie, jak natrę na nich dobywszy głosu, tak ta cała hołota w nogi; ja za nimi, i znowu wpadłem na krakowskie Przedmieście. Nabroiwszy tyle, pora już było ratować się ucieczką. Mając przecięte pasy od Wisły, wpadłem na saski dziedziniec ścinając w biegu pozapalane latarnie, aby pod opończą nocy, łatwiej się schronić. Nie wiém jak tam jest teraz, ale za onych czasów, troje sztachet i trzy bramy kraciaste oddzielały ten plac od krakowskiego Przedmieścia, wierzbowéj ulicy i końskiego targu, a przy każdéj stał szyldwach z saskiego wojska. Dla omylenia pogoni, puściłem się ku końskiemu targowi, lecz szyldwach ostrzeżony krzykiem: *mach cu*! *mach cu*! chciał przymknąć wyjazd. Tylko co go miałem poczęstować po łbie, schronił się do swéj budy, a ja w nią zapakowawszy szablicę do połowy, gdy

się mocuję dobywając ją z drzewa, Sas bestja korzystał z czasu, ipodkłuł mi dwa razy konia bagnetem, to szczęście że tylko w udo. Przecież udało mi się, chociaż zwichniętą w główni wyrwać uwięzłą szablę i wypaść na koński targ; a że się ściemniło, a ulica była i nie brukowana i nie oświecona, zostawiwszy zdaleka za sobą pogoń, dopadłem nareszcie stancji Zborowskiego. Czekał on mnie niespokojny, że nie wracam. Zobaczywszy zjuszonego konia przeląkł się. *Ratuj przyjacielu! źle ze mną!* Opowiedziałem mu naprędce co się stało. Nie było czasu do tracenia. On konia swego, opatrzywszy mu rany w mgnieniu oka, natychmiast odesłał z wiernym pacholikiem na dalekie przedmieście, mnie zaś ukrył w stosie drew pod szopą.

Smutnąż to ja noc przepędziłem w owej drwalni. Jak zając co się wyrwał z obrotow i dopadł nory, zwi-

nąłem się w kłębek i otulony upończą, usiłowałem zasnąć. Nie podobna było i oka zmrużyć pomimo znoju i utrudzenia; bo i niewygodne legowisko i strach spędzał sen z powiek. Już mi też i głód, a bardziej pragnienie po wczorajszej pijatyce zaczęły trapić; ale nadewszystko sumienie i rozsądek szeptały mi: — a nie godziło się Panie Szymonie być do tyla szalonym i dopuścić się bezprawia.—Nade dniem, gdy z unużenia zacząłem drzémać, przyszedł kryjomo do mnie Zborowski, przyniosł mi kawał pieczeni, bułkę i dzban piwa, i rzekł mi po cichu, iż on z obawy, aby go nie śledzono, nie będzie mógł widzieć się ze mną przez dni kilka, ale że nasza poczciwa gospodyni i jéj córka, które mnie bardzo lubiły, i przysiądz można było, że nas nie zdradzą, wiedzą o mojéj kryjówce i że one przyrzekły pamiętać o mnie i o moich potrzebach. Jakoż, niech im

Bóg da Niebo, litościwe kobieciska nie opuściły mię w nieszczęściu. Wybiérały one takie chwile, że nie mogły ściągnąć niczyjéj baczności na siebie, i przynosiły mi pożywienie, bieliznę, dały nawet kobierczyk i poduszkę; a kiedy jedna szła do drwalni, to druga na czatach stała. Po kilku dniach zjawił się i Zborowski i powiedział mi, że jeszcze muszę czas niejaki posiedzieć w mojéj kryjówce, bo marszałkowska warta szuka mię wszędzie po mieście; a od Hetmana wyszły ordynanse, aby mię ścigać; po nad Wisłą zaś postawiono straże dla schwytania mnie, gdybym się chciał przeprawiać; ale że czas uśpi tę czujność, a brat mój Karol czyni zabiegi u Lubomirskich i Potockich, aby mię chcieli ratować. Że Pan Wojewoda kijowski radby ale nie śmie otwarcie pomagać mi dla nieporozumienia się z Hetmanem polnym; wszelako przez umówione osoby ułatwi mi u-

cieczkę z Warszawy. Oj! mój Dobrodzieju! więcej dwóch tygodni przesiedziałem pomiędzy temi drwami. Jużem i boki odleżał i zanudziłem się przeklęcie. Nieraz brała mię chętka puścić się na los i wyleźć z mego ukrycia; ale strach przemagał tęsknicę, bo głowa lekko siedziała na karku. Czyby się człowiek dostał w pazury wojskowe, gotowy wyrok: kula w łeb; czyliby wpadł w szpony Marszałka W. koronnego, wiadomy sąd: idź pod miecz; gdyż z surowym Bielińskim nie było żartu, nie lubił on pobłażać fałdując sprawiedliwość z miłosierdziem. Jednego wieczora przyszedł do mnie Zborowski, i przestrzegł, abym był gotów do podróży, że Podczaszyna Pęska, nasza daleka krewna, wywiezie mię z Warszawy niby za służącą. Jakoż o północy wyciągnięto mię cichutko z mojej drwalni i zaprowadzono do Podczaszyny. Tam jak nie pyszny mu-

siałem ogolić moje wąsy, włożyli na mnie spodnicę i kabat, i czepiec na głowę i jubkę na plecy. A że byłem młody i jasnowłosy, biały i rumiany, wzrostu zaś średniego, mogłem więc od biédy ujść za kobiétę. Ledwo szarzeć zaczęło, siedliśmy z Panią Podczaszyną i starą jéj respektową panną do karéty i wyruszyliśmy w drogę. Serce mi jak młotem biło w piersiach, gdyśmy się zbliżali do rogatek. Ale że u nas w Polsce Policja nie bardzo była ciekawa i nie pytano o pasporta, Officer zatém od warty zajrzawszy do karéty, i rozmówiwszy się w kilku słowach z Panią Podczaszyną, kazał podnieść rogatkę i wyjechaliśmy z Warszawy. Pod Karczewiem, przeprawiliśmy się szczęśliwie przez Wisłę, nie wysiadając na promie z karéty. Pani Pęska, niech jéj Bóg świeci, odwiozła mię aż do Kocka. Tam przywdziałem już męzkie suknie, a nająwszy furmana

Mazura, pożegnałem się z nią tak czule, jak z drugą matką. Podczaszyna wręczyła mi list Wojewody kijowskiego do Pani Kossakowskiej Kasztelanowej kamińskiej, blizkiej jego krewnej, bo była z domu Potocka. Polecał on mnie jej opiece i orędownictwu. Przybywszy bez żadnej przygody do Lwowa pod nazwiskiem Zabłockiego, bo mi się tak przezwać kazano, stawiłem się u Pani Kasztelanowej. Po przeczytaniu listu wezwała mię do gabinetu, a rozmówiwszy się, kazała mieszkać w swojej kamienicy, a nie włóczyć się po mieście. Była to kobieta wielkiego rozumu i znaczenia, ze wspaniałości umysłu i męzkiej odwagi, godna piastować laski i buławy. Poważali ją Monarchowie, szanowali wszyscy, lecz razem i bali się jej, bo dowcipna i werydyczka; umiała ostro przyciąć, kiedy się jej kto naraził, albo nieprawą chodził drogą. Na wołowej skórze nie spi-

sałbyś mój bracie wszystkich jéj trafnych lub uszczypliwych odpowiedzi, żarcików i przymówek, które długo powtarzano sobie, i krążyły po kraju cenione jak holenderskie efimki; a tych notabene poszukiwano chciwie pomiędzy sfałszowaną podówczas przez Prusaka monetą. U niéj tedy JPan Zabłocki przesiedział miesiąc cały, a tymczasem nadeszły wieści z Warszawy, że Szymon Zakrzewski wyrokiem sądu wojennego, zaocznie jako nie stawiący się, skazany został na śmierć, i polecono szukać go i pojmać dla spełnienia kary. Pani Kasztelanowa kamińska osądziła, że pobyt we Lwowie nie był dla mnie bezpiecznym, równie jak w Krystynopolu, bo mię tam znano i mógłby kto mię wydać. Otoż tedy opatrzywszy hojnie na drogę, dała mi furmankę aż do Równego, z listem do Księżny Honoraty Lubomirskiéj Podstoliny koronnéj, któréj mąż znajdo-

wał się podówczas w Warszawie. Od tej Pani najłaskawszego doznałem przyjęcia, jako polecony najmocniej jej opiece, a prócz tego zauważyłem to, mój bracie, że kobiety awanturników i bultai, byle odważnych i zuchów, niezmiernie lubią. Lecz że i w Równém mniemany Pan Zabłocki, nad którym wyrok śmierci wisiał, nie mógł bezpiecznie przewietrzać się po ulicy; posłała więc Księżna po Gwardjana bernardyńskiego do Kustyna. Naradziwszy się z nim sekretnie, uchwalono, żeby mię zabrał z sobą i na kępie znajdującéj się pośród stawu, zarosłej trzciną i łozą, osadził. Tam to ja całe trzy miesiące przesiedziałem.... Prócz Księżnéj, Gwardjana i jednego Braciszka, nikt o mnie nie wiedział. Ten ostatni dowoził mi czółnem, czego mi tylko było potrzeba. A tymczasem Książę Lubomirski, uproszony od brata mego Karola, wszelkich dołożył starań do u-

błagania Hetmana. Jakoż udało mu się nakoniec zyskać cofnienie wyroku wojskowego i wyrobić dla mnie list żelazny. Wylazłem na świat jako lis przepłoszony z pomiędzy kępin; a wdzięczny Lubomirskim za ich orędownictwo, już nie chciałem wrócić do krystynopolskiego dworu, i w Równém osiadłem. Ojcom też Bernardynom kustyńskim, za dany w złym razie przytułek, wypłacam się po dziś dzień jałmużną, wedle przemożności mojéj. Ale mój bracie, sam osądź, co mię czekało, gdyby Hetman Branicki nie dał się był zmiękczyć i trwał przy raz zapadłym dekrecie. Trzebaby było zostać banitą i z kraju się wynosić, bo trudno całe życie przesiedzieć jak djabeł w trzcinie, lub niedźwiedź w ostępie. A gdzież się udać było wyjętemu z pod prawa nieukowi? Chyba otwartą dla łotrów drogą, zemknąć do Siczy i zostać hajdamaką? Dla tego też wstając i le-

gając wspominam Klemensa Branickiego w modlitwie mojej. —

Tu Pan Starosta umilkł i zadumał się. Ja także rozmyślać począłem o owej dziwnej jego przygodzie. Nakoniec odezwał się: —Mój walny chłopcze! już trochę za poźno, muszę jeszcze pacierze zmówić. Dobréj nocy ci życzę. —

—Dobranoc Panu Staroście! — Odszedłem zostawujac do dnia następnego dalsze wybadywanie staruszka.

II.

Na Zamku Kasztelana
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głuszy kapele.
Kielich krąży w około,
Wszyscy bawią wesoło
ODYNIEC. Gody. *Ballada*.

Nazajutrz wieczorem, gdy Pan Starosta zasiadł jak zwykle w pokoju swoim u stolika stojącego pod oknem i nakrytego makatą, zbliżyłem się do niego; wskazał mi krzesełko obok siebie i rzekł: —Pogawędźmy trochę.

Odpowiedziałem: — najchętniej. Długo też Pan Starosta zostawał przy dworze Książąt Lubomirskich?

— Ho! mój Dobrodzieju, lat kilkanaście, ale nie jak dworzanin, lecz jako przyjaciel domu. Hucznie i wesoło bawiono się w Równem. Domowników gromada, gości codziennie prawie jak nabił, uczty, muzyka, tańce, stoły otwarte, rzęsiste kielichy spełniane przy odgłosie moździerzy i ręcznej broni, cyfry gorejące i ognie sztuczne. Księżna Jejmość, Pociejówna z domu, bogate wiano przyniosła mężowi. Była to pani wielce hoża i piękna i arcy wesoła. Pamiętam bywało, gdy czasem rzuciwszy na stronę francuzkie robronty i pompadury, jak wystąpi w staropolskim niewieścim stroju, przybrana w aksamitny kontusik, w staniczek ze złotej lamy i soboli kołpaczek, przy którym dyamentowe migocze piórko i w różowych jak zorze bucikach, naszywanych perłami, a koreczki okute złotem; kiedy jak łani puści się w pierwszej parze polskiego lub mazu-

ra po ogromnej pałacowej sali, to się napatrzeć na nią nie mogłem; a jak zwyczajem swoim na zawrocie w tańcu skrzesze podkóweczkami, ho! mój Dobrodzieju! człowiek ledwie ze skóry nie wyskoczy, tak mu serce rośnie. Powiadali niektórzy, że była trochę zalotna, alem się o tém nie przekonał, a pamięci dobroczyńców moich szkalować nie zwykłem. Co do samego Księcia Podstolego koronnego, ten lubił przykładem zachęcać do spełnienia rzęsistych kielichów; ale któż wówczas u nas nie pił? Był on zapalony myśliwy, i często ogromne łowy dla gości swoich wyprawiał. W Tulczynie zwykle niezmierną chował psiarnię, przeznaczywszy całe dochody z tego Klucza na jéj utrzymanie. Rozległe bory i puszcze, pełne były grubego zwierza, na którego z sieciami, parkanami i nieprzeliczoną chłopstwa polowaliśmy obławą. Nabiwszy co nie miara

sarn, wilków, dzików, a często kilka łosi, czasem też i niedźwiedzia, zasiadano do myśliwskiego obiadu. Ile to bywało opowiadań o przygodach łowieckich, ile łgarstw, ile samochwalstwa! Rogi i waltornie brzmiały tymczasem na tryumf, a my trąbiliśmy w kielichy, i nie pomnę, abyśmy kiedy po trzezwu wrócili do domu.

Raz Książę żalił się że pod samem Równem nie ma żadnego lasku, w którymby mógł czasem dorywczo choć na zająca zapolować. Coż powiesz?... Sasiedzi i przyjaciele zmówili się, aby mu w dzień imienin zrobić niespodziankę. Właśnie Książę wyjechał był na dni kilka do Dubna do Księcia Ordynata Sanguszki, i nie miał wrócić aż na święty Stanisław. Owoż tedy na dobę przed tym dniem zegnano tysiące podwód z młodemi drzewkami, spędzono tysiące robotników z okolic bliższych i dalszych i zasadzano jak naj-

staranniej zwierzyniec dość obszerny, poprzerzynany porządnie ulicami w linje, i napuszczono weń mnóstwo różnej zwierzyny. Co za podziwienie i radość była Księcia, który w nocy przyjechał, gdy budząc się z okien swoich spostrzegł nad miastem górę zieleniącą się lasem. Ta niespodzianka, pielęgnowana następnie, przetrwała dotychczas, jest to ów gaj rowieński który widzisz z mojego domu. Nie polowano wprawdzie dnia tego, bo to był dzień uroczysty, ale wszyscy wiele nas było gości i domowników za przewodem Księstwa, ruszyliśmy ku owemu lasowi, co jakby przez czary z ziemi wyrosł. Pociesznać to była rzecz widzieć gromady zajęcy i sarn spłoszonych przybyciem tylu powozów i wrzawą tylu jezdnych, przebiegające tu i ówdzie, ale nigdzie wymknąć się nie mogły, bo zewsząd knieja ostawiona była sieciami. Nazajutrz dopie-

ro wieczorem polowano przy pochodniach i kagańcach. W dniu zaś imienin potężna była pijatyka. Pamiętam po obiedzie pokazywano konie ze stajen książęcych, na dziedzińcu zamkowym. Wszystkie Damy dla przypatrzenia się wyszły z księżną Honoratą na ogromną galerję pałacową, co się na piętrze wzdłuż sali rozciągała. Ja kazałem sobie podać mego siwo jabłkowitego i zacząłem srodze na nim dokazywać, przy oklasku a czasem i przestrachu Dam. Książę stojąc na galerji z pełnym kielichem, zawołał do mnie z góry:— Panie Szymonie! piję za Waszeci zdrowie i w. Waspana ręce, ale potrzeba żebyś nie zsiadając z konia, kielich odemnie odebrał.— Nie dałem sobie dwa razy mówić: wypuściłem siwosza, przebyłem w skok kilka stopni prowadzących do przysionka, wpadłem do sieni, i po wschodach dostałem się na piętro na wielką salę, i wjecha-

łem na galerję przy nie małej trwodze kobiét. Książę podał mi potężny kielich, który za jego zdrowie spełniwszy duszkiem, zwróciłem konia i tąż samą drogą, chociaż nieco już ostrożniej powróciłem na dziedziniec zamkowy. Tak to mój Dobrodzieju dokazywano przed łaty w tém Równém, które dziś tak trzeźwe. A w Dubnież to dopiéro na Zamku księcia Ordynata Marszalka nadwornego litewskiego, co za rzeki wina płynęły! Ho! bo też krętowąsego Sanguszkę nie łatwo przepić można było. Lał jak w beczkę i lubił żeby się ochocono. Na sali zamkowéj parowały łby biesiadników od węgrzyna, a na dziedzińcu kłębił się dym od wystrzałów Dragonji warczących za każdym wiwatem.

Często jezdziliśmy w gości do Ordynata; bo Książę Podstoli koronny miał widoki zjednania go sobie. Jam zaś rad zawsze oglądał braci moich

Eustachego i Karola, z których pierwszy był Komisarzem dóbr, a drugi Marszałkiem Dworu dubieńskiego. Wyznać jednak muszę, ze szkodą braci moich, że w dobrach był nieład, a rwetes we dworze. Działo się to bardziej przez pana, niż sług.

— Zapewne,— rzekłem,— Pan Starosta wspomniał tu o tranzakcjach kolbuszowskich?

— Tak jest mój bracie. Nastąpiły one w kilka lat poźniej i narobiły dużo hałasu w koronie. Bo wielu, a ci mianowicie, którzy z tych nadań nie skorzystali, utrzymywali głośno, że Książę Sanguszko nieprawnie posiadał, a nieprawniej jeszcze rozszafował ogromne włości Ordynacji ostrogskiej, które po wygaśnieniu miecza Książąt od Ostroga Zasławskich na Zakon maltański spadać byłyby powinny. Ale jam nie prawnik, nie potępiam tego, co na-

stępnie Sejmy utwierdziły, a tylko widzi mi się, że jeśli mieli posiąść majątek jacyś Kawalerowie jerozolimscy, co to gdzieś na morzu wojować z Bisurmanami powinni, z którymi Rzeczpospolita wieczny sojusz przez karłowicki pokój zawarła; to daleko lepiéj Sejm zrobił, iż przyznał kolbuszowskie nadania, przez które domy Książąt Lubomirskich najwięcéj zyskały. I słusznie, aby owe majętności Ostrogskie, które już raz po kądzieli były w ręku Lubomirskich, a poźniej również po kądzieli dostały się Sanguszkóm, wróciły nazad do dawniejszych posiadaczy swoich, niż miały wzbogacać przybyszów i obcych. Przyczém wiele innych domów pańskich, a i braci szlachty nie mało pożywiło się i zapomogło. Rzeczpospolita zyskała Regiment imienia Ostrogskich, mój zaś Książę Stanisław, Klucze; dubiński, warkowicki i inne.

Ale coż bo to za rozległe włości ten Książę Ordynat rozdał w życiu swojém. Prócz kolbuszowskich nadań, przez które do sześciuset wiosek z miastami rozposażył, dawniej jeszcze, małoletnim braciom swoim będąc sam bezdzietny, ogromne dobra, jako to Księstwo zasławskie, Hrabstwo tarnowskie i inne odziedziczone po matce swojéj, darował. Bo trzeba ci wiedzieć mój Dobrodzieju, że na nim kończył się już ród Sanguszków. Ożeniony z Denhofówną Wojewodzianką pomorską, nie żył z nią, a jak różnie powiadano, nie mogło być nadziei potomstwa; bo kto ziarno rzuca na grunt nie właściwy, ten plonu, mieć nie będzie. Owoż tedy owdowiały już oddawna ojciec Ordynata, Książę Paweł Sanguszko, Marszałek Wielki Litewski, widząc blizką plemienia swojego zatratę, umyślił sam, chociaż sześćdziesięciokilko letni, wskrzesić w nowym szczepie usycha-

jące drzewo i postanowił ożenić się. Miał on przy sobie nadwornego doktora nazwiskiem Chirnesa; głośny to był w swoim czasie lekarz. Tego zatém wysłał z pełnomocnictwem szukania mu po całym kraju żony, którą chciał mieć młodą, piękną i płodną. Jakoż trudy jego nie były płonne, bo upatrzył i wybrał dla Księcia prawodawcy swego dziewicę piętnastoletnią, nadobną, rozumną, cnotliwą, z zacnego Hrabiów Duninów rodu i chociaż sierotę, jednak dość posażną, o czém w warunkach cale nie wzmiankowano. Była to poźniej tak powszechnie poważana w kraju Księżna Barbara. Z tą tedy zawarłszy dozgonne śluby, letni Sanguszko odmłodził stare drzewo nowemi latoroślami, których nie skąpo wydała mu hoża małżonka, bo co rok to był prorok, czasem i bliźnięta, tak dalece, że kiedy po jedenastoletniém pożyciu przeniósł się Książę Paweł do wieczności (nie licząc

dziatek w powiciu lub w drobnym wieku zmarłych) zostawił jako następców po sobie, trzech synów i trzy córki. Dla tych to więc o lat kilkadziesiąt młodszych od siebie braciszków, Książe Ordynat za życia jeszcze ojcowskiego, zamożne majętności przekazał, z puścizną niegdyś Książąt Zasławskich, bogacąc ród Sanguszkow.

— Jak widzę,—rzekłem,—hojność ta Księcia Ordynata nie wszystkim poszła na korzyść. Dzisiejsi naprzykład Lubomirścy, chociaż dość możni,szczątki tylko posiadają dziadowskich włości. Słyszałem nieraz, że majątek księcia Podstolego koronnego, nie mógł podołać jego marnotrawstwu.—

— Ho! mój bracie! marnotrawstwo marnotrawstwu nie równe. Zaiste życie pańskie jakkolwiek zbytkowne, okazałe i szumne, nie zniszczyłoby nigdy fortuny Księcia Stanisława, bo chociaż rozgardjasz gościł w tym do-

mu, lecz też i dostatki zbyt wielkie były i wystarczały na wszystko. Ale prawdziwem narzędziem do podkopania jego majątku było to, iż on poźniej szwankował na umyśle, jak się owo najjawniej dało widzieć na Sejmie elekcyjnym, kiedy mu Korona zaświtała w głowie. Aże do tego lubił potężnie grywać w karty, więc oszusty, szulery i facjendarze oblegli go, świecąc mu boki i starając się korzystać z jego słabości. Jedni go ogrywali na krocie, drudzy wyłudzali u niego za bezcen dobra; tak że synowie o wzięcie go w kuratelę czynić starania musieli. Ale i tu przewrotność i chciwość, popleczników znalazły. Bo wówczas kiedy młodzi Lubomirscy dowodząc ojcu pomięszania umysłu, starali się zwalić niedorzeczne przedaże włości, przez niego zdziałane, chytry Kanclerz Młodziejowski, cho ciaż to żal się Boże i duchowny Bi-

skup poznański, mając w tém swoje widoki, ba i wspólnictwo z nabywcami, potrafił zyskać to u Króla Poniatowskiego, że obłąkanego Księcia, który już był Wojewodą bracławskim na wyższe w Senacie krzesło posunął, dając mu Województwo kijowskie na miejscu zmarłego Potockiego; a tym sposobem, Król przyznawał mu i rozum i rozsądek. Nie było środka: musieli synowie zostawić mataczy i kosterów przy wyłudzonych włościach, a wówczas dopiero dozwolono im wziąść w opiekę ojca. Ale to wszystko działo się o kilkanaście lat poźniej, jak powiadam, już za rządów Króla Stanisława. Za Sasów zaś, jeszcze się kryli w cieniu owi wyrodkowie, co to potém tak bezczelnie prywatnemi majątkami frymarczyli. Wróćmy zatém do dawniejszych czasów, w których mniej pożyczanej od obcych oświaty a więcej wstydu między ludźmi

było. Ot, hulaliśmy sobie i kwita, bo się nam dobrze działo, wedle owego przysłowia. *Za Króla Sobka nie było w polu snopka, a za Króla Sasa, człowiek jadł, pił, i popuszczał pasa.* O! już co pili to pili! nie było próżniaków w winnicy Pańskiej. Bo prócz młodzików którym nie wolno było sięgać do szklanicy, reszta wszyscy panowie i szlachta, duchowni i świeccy, Sędziowie i Palestra, wojskowi i urzędnicy pili na wyścigi, a kto odmawiał kielicha, to go i przymusić umiano.

— Z tego wszystkiego com usłyszał od Pana Starosty o owych czasach, wnioskować można, że były w kraju swoboda, dostatek i bezpieczeństwo. Jakoż panowanie Augusta III. słynie z długiego pokoju.

— Ho! mój bracie, Panóm na dostatkach nie brakło, a ubożsi mieli okruszyny pańskie. Wojny żadnej z ościennymi nie prowadziliśmy, ale co się ty-

cze bespieczeństwa, tém, szczególniej na pograniczu od Zaporoża, trudno się było pochlubić. A nawet i na Wołyniu kilkakroć pomięszały nam błogie na dworach wczasy i krotofile, przesadzone wieści o napadach hajdamackich. Zdarzyło mi się parę razy być uczęstnikiem wyprawy na tych hultai.

— Niech mi Pan raczy opowiedzieć jak to było?

— Kiedy chcesz mój Dobrodzieju, to posłuchaj. Ale wprzód żebyś miał wyobrażenie, co to był hajdamaka, wyjdź na chwilę do sieni i przypatrz się konterfektowi Mamaja, który tam wisi na ścianie.—

Poszedłem zatém oglądać ów obraz. Było to płótno kilkołokciowe, z którego farby w wielu miejscach poodpadały — pod dębem stał uwiązany koń, oparta krótka spisa i pozawieszane bronie kozackie, jako to: janczarka, szabla i różek prochowy. Sam zaś

brudny bohatér w oszarpanym i roztwartym na piersiach kożuszku, ze łbem wygolonym, z którego spływał za ucho bujny osełedec, z potężnemi kruczemi wąsami, z twarzą ogorzałą, z miną dziką i urągliwą, siedział pod drzewem niedbale przekrzyżowawszy nogi z turecka i zajęty był około siebie tym rodzajem ochędóstwa które chłopi nasi poruczają zwykle paluszkom gospodyń swoich, gdy w ciepłe dni świąteczne leżąc u progu chaty składają drzémiące głowy na ich kolanach. Na boku obrazu wypisane były jakieś długie gburowate wiérsze pełne przechwałek i szyderstwa z Lachów i żydów, godny płód zaporożskiej muzy.

— Jakież to jest podanie o tym Mamaju? — zapytałem Pana Starosty wróciwszy do pokoju.

— Nie potrafię ci dokładnie powiedzieć mój Dobrodzieju; słyszałem tylko że przed laty miał to być jakiś sław-

ny rozbojnik zaporożski, którego pod Czehrynem pojmawszy, powieszono. Malowanie to darował mi na pamiątkę brat Brygadjera, Dzierżek Tryus, tak przezwany dla dużej brodawki koło warg, z której wyrastający spory pęk włosów, tworzył mu jakoby trzeci wąs.—A teraz kiedyś już widział jak wyglądał hajdamaka, przystąpmy do rzeczy. Tandem tedy szajki tych opryszków z kilkudziesiąt, a czasem z kilkuset łotrów złożone, wypadały ledwo nie co wiosny z Siczy zaporożskiej, wracając jesienią do swoich legowisk. Był to stek ludzi z samych zbrodniarzy zebrany. Rekrutowali się oni z różnych zbiegów krajów okolicznych, ale najwięcej z ukraińskiego chłopstwa, pomiędzy którém miewali wielu zwolenników swoich, co im dawali przewodnią i nauczali którędy iść i gdzie na pewno szukać zdobyczy. Rabowali i palili dwory, cerkwie i mia-

stcczka. Pograniczne Województwa kijowskie i bracławskie, najwięcej cierpiały od tych hultai; ale niekiedy zapędzali się oni na Podole i Wołyń, a nawet aż ku Mozyrowi. Bo wojska pogranicznego było bardzo mało; magnaci nadworne przy sobie skupiali, a horodowych Kozaków mieli za swoich. Ci Hajdamacy, najazdy swoje czasem pieszo, ale najczęściej konno odbywali, uprowadzając zdobycz na objuczonych szkapach, i to się u nich zwało *batownią*. Na czele każdej szajki bywał dowodca, którego oni Watażką zwali. Wybierali go zwykle pomiędzy najdoświadczeńszymi, co to już po kil ka wypraw zbojeckich odbyli i znali wszystkie przesmyki i ścieżki. Dla wzbudzenia zaś ufności między swoimi a postrachu pomiędzy pospólstwem i przesądnym narodem, głosili o nim, że jest charakternik to jest czarownik, że kule zaklinać umie, i że go insza jak

srébrna nie weźmie; a w razie, to się i niewidomym stać potrafi. Co to oni za bogate łupy uwozili z kraju; a czasem wiedzeni zemstą, co to krwi niewinnéj przelali! Przestrach też kiedy się wieść rozeszła że hajdamacy idą, był do nie opisania: każdy z czém mógł i gdzie mógł, chronił się. Ale najczęściéj wiadomość o ich wtargnieniu przychodziła za poźno, bo ich pochód jak wilczy, bywał bardzo skryty, a odpoczynki po futorach i po sieczyskach odludnych.

Owoż tedy gościliśmy raz z Księciem Podstolim w Polomném, u jego stryja Księcia Antoniego Lubomirskie-Starosty kazimiérskiego. W czasie samego obiadu przyleciał goniec od jeneralnego Regimentarza partji ukraińskiéj i podolskiéj, Jana Tarły Wojewody lubelskiego z Ordynansem, aby Regiment hetmański cudzoziemskiego autoramentu, który był pod dowodz-

twem tego Księcia, spiesznym pochodem ciągnął do Jaltuszkowa na Podole; prosił oraz osobnym listem Storoskę kazimierskiego, aby wysłał część własnéj swojéj załogi z twierdzy połońskiéj, i harmat dziesięć, a to dla pojmania stu kilkudziesiąt hajdamaków, którzy przeprawiając się, ze zdobyczą ku granicy, gdy im zastąpiono drogę, schronili się w lasy Jaltuszkowskie i tam zasiekli się. Odpisał Książe Starosta, że jutro sam z wojskiem wyrusza. Ta jego gotowość na wezwanie Regimentarza, pochodziła raz ztąd, iż Tarło był mu Wujem, a powtóre że zacny Jąkała Lubomirski, zawsze rad osobą swoją służył Rzeczy-pospolitéj. Dowiódł tego marszalkując tak gorliwie na owym Sejmie (1746 roku) co zrazu tyle dobrego wróżyło dla nas, na którym pod jego laską i przewodnictwem, tak zgodnie radzono o powiększeniu wojska,

o skarbie i wielu innych zbawiennych dla kraju urządzeniach. Wprawdzie zasługa tylko poczciwych chęci, została przy Antonim Lubomirskim, gdy te mądre uchwały nie uzyskawszy mocy prawa, spełzły na niczém. Bo źle życzliwi dobru powszechnemu, widząc, że sześcioniedzielny czas zamierzony dla Sejmów, dogorywa bez zerwania, w dniu już ostatecznym, kiedy szło tylko o podpisanie gotowego dzieła, przewlekali z umysłu jałowemi wnioskami posiedzenie Izby aż do nocy: a za przyniesieniem świateł gasili je po kilka krotnie, wrzeszcząc, że sejmikować przy świecach jest niesłychaném bezprawiem. Widząc Marszałek co się święci, musiał rozpuścić sejmujących, płacząc nad ową niedolą a rzewny głos swój pożegnalny zakończył, rzekłszy z żalu i oburzenia: *Kto z nas jest przyczyną złego, niech go wszyscy djabli porwą!*

Zjazd ów nieszczęsny przezwano później *Sejmem świeczkowym*. Ale znowu zboczyłem od rzeczy. Przebacz starcowi że mu się myśli od natłoku wspomnień błąkają.

Tandem tedy prosiłem Księcia Starostę kazimierskiego aby mi pozwolił pójść z sobą na ochotnika. Mile to przyjął. Jakoż nazajutrz, ledwie dniać zaczęło, uderzono jenerał-marsz i ruszyliśmy w pochód. Był też z nami i syn Starosty, młody Marcin Książe Lubomirski, może lat siedmnastu chłopak, a już Obersztlejtnant w regimencie ojcowskim. Ciekawe i rostropne było to pacholę i do wojskowości wielką miał ochotę. Zdawało się, że wyjdzie z czasem na sławnego męża, bo się i uczył dobrze, i smiały był a zręczny. Ale poźniej to zacne drzewko zbujawszy, cierpki wydało owoc, bo rozpusta i marnotrawstwo górę wzięły. Strwoniwszy więc fortunę i na-

broiwszy siła w kraju, gdzieś tam na starość za granicami, w Holandji podobno, w więzieniu za długi życie zakończył. Owoż dnia trzeciego około południa, stanęliśmy o ćwierć mili od owego lasu w którym hajdamaków obsaczono. Dla pospiechu, piechotę i puszkarzy wieziono na podwodach. Uszykawało się tam nasze wojsko mając harmaty na skrzydłach i w pośrodku. Przybył JW. Regimentarz i zrobił przegląd; poczém złamano szeregi i zalecono aby żołnierze posilili się i przespali, bo całą noc czuwać będą.

Odpocząwszy nieco, prosiłem Księcia Starostę kazimiérskiego o pozwolenie objechania i opatrzenia stanowisk. Dodał mi dla bezpieczeństwa jednego Oficera i kilku swoich Rajtarów, z którymi puściłem się w około owego lasu, co mi kilka godzin zabrało, chociaż sporo, stępo a niekiedy i

kłusem wyciągałem konia. Las był obszerny. Na około pod samą knieją rozstawiono gęsto chłopów, których ze trzy tysiące spędzono. Byli niektórzy uzbrojeni w rusznice, ale największa część w spisy, w kosy lub cepy. Przykazano im było wartować pilnie, a w nocy ognie palić i często *werda!* krzyczeć. Za chłopstwem o półtorasta kroków w tyle, stało wojsko i to, co z Połonnego i owo co z JW. Regimentarzem dawniej przyciągnęło; a było go ze dwa tysiące ludzi, tak komputowych Hussarzy i Pancernych w zbrojach, lampartach i wilkach, jako też i piechoty, a prócz tego Kozaków horodowych co nie miara. Wszystko to rozstawiane było przez jakiegoś Niemca Półkownika, który był Adjutantem przy Regimentarzu a dawniej służył za Wachmistrza u Sasów.

Ja ujrzawszy poważne znaki pancerne, do nich się przyłączyłem, raz

jako dawny towarzysz, a drugie: że mi te kommendy niemieckie niepodobały się, z powodu, że nie dla wszystkich były zrozumiałe. Koniec końców, zostałem na tę noc przy Pancernych.

Dowodził tam Chorągwią Księcia Podstolego litewskiego Namiestnik, niejaki Tomasz Ci...ński, którego Panem Cześnikiem nurskim tytułowano. Z tym do razu zaznajomiliśmy się jako oba Lubomirszczyki. Aże był człowiek otwarty i przyjacielski, łatwo więc do niego przylgnąłem. Ponieważ zaś czujność i cichość były nakazane, siedząc zatém obok siebie na rozesłanej burce, przeszeptaliśmy noc całą; niekiedy tylko, ale skromnie, z podróżnego puzdra orzeźwiając bezsenność i krzepiąc się przeciw wilgotnej rosie. Nie zabrakło też nam i na osnowie do gawędy. Gdy mu okazałem podziwienie, że tak wiele wojska ściągniono na poskromienie stu kilku-

dziesięt hultai, odpowiedział, że dla imania Hajdamaków, nigdy nadto rąk mieć nie można, bo te łotry - bronią się zajadle i do ostatniego, wiedząc, iż dla nich nie ma przebaczenia, Bo cóż ich czeka — śmieré psia na gałęzi lub sterczenie boleśne na palu. Rzucają się więc jak wściekli jeden na dziesięciu, i częstokroć przebijają się nie tylko sami, ale i zdobycz uprowadzają. Zobaczysz ich jutro jak bogato poubierani. U nas się to tak suto poprzystrajali bo z Siczy wychodzą tylko odziani w zalojone koszule i katanki z ciołaków. Dowiedziałem się od Pana Cześnika, że ów Watażka, którego oblegaliśmy, był sławny między Hajdamakami Iwan Czupryna Zaporożec, który piętnasty już raz wpada do Polski i powracał bezkarnie, spotykając zawsze szczęśliwie z wysłanemi przeciwko niemu oddziałami wojska i uprowadzając bogatą zdo-

bycz. Że przed laty trzema, wpadłszy ze 60 Mołodcami do Szarogrodu, ojca Pana Czesnika zamordował, dóm złupił, a pieniędzy na 40.000 złotych w gotówce zachwycił. A gdy się zapędził aż na Wołyń i wracającemu z obładowaną batownią, tu w tém samém miejscu zastąpiło trzysta Dragonji od Regimentu Królowéj, ów Czupryna w nocy na nich uderzył, Półkownika ubił, kilkanaście koni uprowadził i przedarł się bez straty. Miał więc Pan Tomasz do pomszczenia krew rodzica swego, przelaną przez owego Watażkę. Zapytałem go, czy był rodem z Bracławskiego? — O nie, odpowiedział. My jesteśmy z Ziemi sanockiej, a ród wiedziemy z Węgier. Mój ojciec miał tam wioskę dziedziczną, ale nieszczęściem ubił sąsiada swego na zajezdzie. Musiał tedy uciekać, zabrawszy z sobą żonę, mnie i brata mego, małoletnich jeszcze. Mie-

liśmy rodzonego stryja Rektorem Jezuitów w Winnicy, i ten dal przytułek ojcu naszemu. A że Jezuici, jak wiadomo, wielkie mają stosunki i wpływy tak u dworu jak i u magnatów, stryj nasz więc potrafił ocalić brata i wzyskał dlań darowanie winy. Ale wioska przepadła na sprawę i nawiązki; nie miał już po co ojciec nasz wracać w Sonockie, tém bardziej, że i sąsiedzi nie bardzo uprzejmém okiem spozieraliby na niego. Pozostał więc w Bracławskiém. Stryj Rektor wyjednał dla niego od Lubomirskich posadę Komissarza dóbr poberezkich. Dobrze mu się działo przez lat wiele, aż Hajdamacy pozbawili go żywota.—Widać mój Dobrodzieju, rzekłem, że sądy ludzkie nie uczyniłyby zadość sprawiedliwości Boskiej, która dopuściła Hajdamakom wziąść liczbę z rodzica twego.—Grzechem jest, odpowiedział Pan Tomasz, szemrać prze-

ciwko wyrokom Najwyższego; niech się dzieje wola Jego święta! Ale godzi się narzekać na błędy ludzkie. Do czegoż to dziś doszedł nasz piękny kraj, mający tyle żywiołów potęgi! oto ani uważania u obcych ani wewnątrz bezpieczeństwa nie mamy. A wszystkiego przyczyną duma możno-władców naszych. Nie chcąc oni ulegać Królom swoim, starali się powagę tronu osłabić. Zatruli żywot bohatera wiedeńskiego. Augustowi drugiemu, gorzki podali kielich do wypicia. Sami wprawdzie liczne nadworne trzymają żołdactwo, lecz te dla własnej tylko chowają posługi. Nędzneż to Mospanie życie, naszych pogranicznych mieszkańców, ustawną przeplatane trwogą. Lat temu trzy, zamordowali mi Hajdamacy ojca, w roku przeszłym złupili mi dóm i o mało żony i dzieci niewydarli. Ja trzymam od Zaboklickich zastawą wieś

Sielnicę ale z powinności wojskowej służby, muszę przebywać przy chorągwi; bo bezemnie ktożby nią dowodził? Mój Rotmistrz Książe Podstoli litewski mieszka w swoich dobrach lub w stolicy; mój Porucznik Woronicz w Województwie kijowskiém, gospodarzy w swoich majętnościach, mój Chorąży Bieliński, już podeszły starzec, osiadł na dewocji we Lwowie u Bernardynów. Wszystko więc zwaliło się na głowę biednego Namiestnika. Owoż, tedy jak mówiłem, hultaje napadli na mój domek w Sielnicy i zabrali wszystko, co uwieść mogli. Szczęściem że żona przeczuwając ich odwiedziny, (zwłaszcza że jeden z parobków łotr i pijak uszedł był do Hajdamaków) od kilku już tygodni nie nocowała pod własnym dachem, ale po jarach, konopiach, łozach; a co noc w inszém miejscu szukała z dziatkami ukrycia, wracając na dzień do do-

mu. Ta ostrożność ocaliła ją; bo rozbojnicy napadłszy, zastali tylko przy mamce moję najmłódszą córeczkę, i tę chcieli rostrzaskać o ścianę, ale mamka padła im do nóg i przecież łzy jej i prośby rozbroiły zapamiętalców. Wkrótce potém szajka Opryszków napadla na miasteczko Krasne, gdzie mój siedmioletni synek był u Dyrektora w parafijalnej szkółce. Studenci schronili się do Zameczku; lecz ich nauczyciel wpadł w ręce hultai. Po zrabowaniu miasteczka, kiedy wezwany do poddania się Gubernator kluczowy, otworzyć im bram swego Gibraltaru nie chciał, umyślili podpalić ostrokół dębowy, który najwarowniejszą stanowił obronę téj nędznej Zamczyny. Zaczęli przeto okładać palisady słomą, dla zwiezienia któréj, aby nie znużyć własnych koni, zaprzęgali do wozu owego bakałarza w parze z żydem szkolnikiem.

I kilka już fur dostawili tym sposobem, srogiemi furmankę ową okładając plagami. Ale nie dał dokończyć Rabusiom przedsięwziętego dzieła, wystrzał z pistoletu od ich czaty postawionéj za miastem. Ostrzeżeni, że nadchodzi dragonja, zwinęli szybko tłomoki i ponieśli się pędem ku Kiezmaniowi (tak zowią duży las w okolicach Krasnego). Zastąpiła im wprawdzie na szlaku Dragonja, ale ci potępieńcy, uderzyli przebojem i otworzyli sobie drogę ubiwszy z janczarek dwóch Dragonów i jednego konia, a batownią ze zdobyczą uprowadzili. Z téj wyprawy, najbardziéj uradowany mój mały Marciś, że przecież Hajdamacy oddali w kilkoro biednemu Szyszle (tak się nazywał Dyrektor) te cięgi któremi zwykł był smagać uczniów swoich.'

Na tych i tym podobnych rozmowach strawiliśmy noc całą. Już też

i dnieć zaczęło; gdy oto po drugiej stronie lasu, gdzie stała nasza piechota, dały się słyszeć wystrzały z samopałów, naprzód pojedyncze a potem coraz gęściejsze, dalej i działa zagrzmiały. Huk, wrzawa, łoskot i trzask walących się drzew, rozlegały się szeroce po kniei i po rannej rosie. Myśmy już byli na koniach. Chłopstwo przestraszone zaczęło uciekać. Pancerni radzili by je zawracać. Wtem czterdziestu Hajdamaków, mających za sobą ze 20 koni jucznych, wypadło znienacka z lasu i wraz uderzyło na trzy Chorągwie wołoskie, stojące na przedzie. Nie dotrzymali kroku Wołochy, a nawet nie wystrzeliwszy pierzchnęli w nieładzie na Komputowych, i ze zmykającą czernią takie zamieszanie w szeregach zrobili, że do szyku trafić nie mogliśmy. Z czego Opryszkowie korzystając, dali raz ognia do naszych, i ubiwszy kilku

szeregowych, zwrócili pędem ku wsi, I Namiestnik i ja dojeżdżaliśmy ich zblizka, a nawet Pan Cześnik zwalił jednego łotra z pistoletu; ale obejrzawszy się że tylko we dwóch ścigamy, wstrzymaliśmy konie. Hajdamacy tymczasem przeszedłszy wieś i zapaliwszy ją za sobą, do sąsiednego dostali się lasu. Poszła wprawdzie za niemi pogoń, którą JW. Regimentarz zajęty w innej stronie, ledwo w godzinę wyprawił, ale bezskutecznie; bo ci hultaje, na lekkich siedzący szkapach, nie dali się doścignąć i uszli do Siczy, wszędzie za sobą zostawując pożogę.

Nie tak pomyślnie poszło Hajdamakóm tym, na których piechota nasza nastąpiła w lesie. Bronili się wprawdzie zajadle ci rozbojnicy, ubili naszym Podpółkownika, dwóch czy trzech Oficerów i około pięciudziesiąt żołnierzy. Ranili także kilkunastu i

Majora, ale rażeni od ręcznej strzelby, od harmat i które druzgocąc drzewa, łomami i ich przywalały, zmieszani nadewszystko śmiercią Watażki swego, wytępieni po większej części zostali. Resztę niedobitków i rannych zabrano w niewolą. Zginęło ich około 80. pokaleczonych zaś i żywych schwytano do 40. Watażka ich, ów Iwan Czupryna, ubity został od pierwszego strzału z ręki młodego Lubomirskiego, który przy samym wstępie do lasu, na czele swoich Grenadjerów, spostrzegł go klęczącego pod dębem i mierzącego do siebie. Uprzedził go Książe Marcin, wypalił ze swego sztucca i trupem położył. Znaleziono przy nim bardzo bogatą broń turecką we srébro oprawną, kilka pierścieni brylantowych na palcach, pięć zegarków złotych i 1400 dukatów w trzosie. Na drugich także Hajdamakach poznajdowano mnóstwo pieniędzy i w trzo-

sach i w poduszkach od kulbak, zegarków i broni kosztownéj nie mało. A w batowni ich, rozmaitego bogactwa co nie miara, w srébrach, w materjach litych, pasach złocistych, ochędostwie niewieściem i futrach, ornatach, kapach i rasach cerkiewnych, kielichach, patynach i monstrancjach. A co żydowskiego odzienia, muszek i pereł kałakuckich i zausznic! Wszystko to narabowane było w tym biédnym pogranicznym kraju. Koni też kilkadziesiąt zdobyto, między któremi wiele dzielnych, reszta pobita w lesie, lub ciężko pokaleczona leżała.

Roztoczono oboz na wzgórzu i trzy dni odpoczęło wojsko. Przez ten czas spisano zdobycz i rozdzielono pomiędzy Oficerów i żołniérzy, nie zapominając i o wdowach poległych. Dostało się podobno Kapitanom po 50 czątych, Porucznikom po 30, Podoficerom po 10, a każdemu z żołniérzy po

1. dukaty. Sprzęty zaś i ozdoby kościelne złożono osobno i poźniej po Kościołach i Cerkwiach rozesłano.

Przysłany też był z Kamieńca podolskiego Sędzia wojskowy z Instygatorem i Mistrz z posługaczami swymi. Zaczęto ciągnąć inkwizycje z pojmanych Hajdamaków: brano ich na tortury. Pokazało się z wyznań, że ich było 160 mołojców i że Watażka Iwan Czupryna zatrzymał się i zasiekł w tym lesie oczekując na nadejście jednej czaty swoich z piętnastu mołodców złożonej, którą wysłał był z bratem swoim w inną stronę dla rabunku. Że przy batowni mieli 12 Kozaków horodowych, których wymienili, ale że ci niewinni, bo z musu służyli. Że owej nocy, Watażko ich, który był wielki charakternik, zwątpił o szczęściu swojém, bo mu zła wróżba wypadła. Zauważył bowiem, iż gdy się grzał przy ognisku, wszystka zgryzo-

ta zlazła mu się do kołnierza; rzekł zatém: „*Ot teper nam bude łycho z wrażymy Lachami.* Że do świtu, podzieleni na cztéry hufce mieli razem za danym znakiem, we cztéry strony uderzyć na przebój, a znak umówiony był wystrzał Watażki z pistoletu, na który każdy oddział po dwa razy z janczarek miał odpowiedzieć. Ale że im pomięszał szyki nieprzewidziany przypadek. Oto Watażka gdy już szarzeć zaczęło, popełzł na czworaku ku krawędzi lasu, dla przypatrzenia się co też Lachy robią. Za nim kilkunastu poraczkowało mołodców, z tych jednemu rusznica zaczepiona o gałęź wypaliła trafem, a na to fałszywe hasło odpowiedziały drugie wystrzały. Piechota zaś lacka, na ten odgłos tak nagle wpadła do lasu, że nie pośpieli dosiąść koni i trafić do ładu, tém bardziej iż śmierć Watażki od pierwszéj kuli, zbiła ich zupełnie z tropu. Spi-

sał Sędzia te zeznania, oraz długi regestr zabitych i żyjących Hajdamaków i dekret ogłosił. Jednych na szubienicę, drugich na pal, innych na ćwiertowanie wskazał. Żyjących odesłano pod mocną strażą do twierdzy kamienieckiej dla spełnienia wyroku; trupów zaś ćwiertowano na miejscu i rozesłano głowy i ćwierci po miastach i miasteczkach dla wbicia na pale a jelita z nich, których było nie mało zakopano w lesie jałtuszkowskim nad wielkim szlakiem i usypano mogiłę, nad nimi ku wiecznej pamiątce tego wypadku. Aleć i owych piętnastu Opryszków, na których główna oczekiwała szajka, nie wyszło na sucho. Schwycono dwóch z pomiędzy nich wysłanych na szpiegi. Stary Hajdamaka nic nie chciał wyznać, nawet wśród mąk, na które w końcu był oddany; ale młodszy wcale nie zbojeckiego oblicza parobczak, badany osobno.

9*

któremu zaręczono życie i darowanie winy, a nawet obiecano względy Pańskie i służbę u nadwornych Kozakow, bo się był Księciu Marcinowi podobał; wydał, że o mil dziewięć od tego miejsca ku Konstantynowu, w stepach, w jarze, pomiędzy stertami zasiedli od dni kilku. Że liczba ich podwoiła się nowo zrekrutowanymi do 30 głów. Że wysyłają na czarny szlak czaty dla chwytania podróżnych, których uprowadzają do swego legowiska. Że już mają mnóstwo koni, zdobyczy i niewolnika. Obiecał wreszcie doprowadzić do miejsca.

JW. Rejmentarz wysłał natychmiast trzystu piechurów, wsadziwszy ich na konie, wzięte od chorągwi wołoskich i tyluż Kozaków horodowych, oraz dwa działa, i powierzył dowodztwo młodemu Lubomirskiemu, który za waleczną onegdajszą wyprawę do lasu, mianowany został Półkownikiem, miał

on przy sobie jeszcze Ochmistrza Francuza, jakiegoś barona, który podobno dawniej w wojsku sługiwał. Ten mu skrycie dodawał rady; szedł też i stary Major z tym podjazdem. Ruszył spieszno przodem wysłany oddział; wodzowie zaś z resztą wojska, i ja z nimi nazajutrz, wolnym pochodem udaliśmy się w tropy za Księciem Marcinem. Gracko się znalazł młodzieniaszek, bo tak ostrożnie i przezornie zszedł Hajdamaków, i tak dobrze był doprowadzony przez owego przebaczonego mołojca, że ich zewsząd otoczył, a czatujących na czarnym szlaku, Kozacy pojmali śpiących za mogiłą. Lecz owi zaczajeni w jarze nie chcieli się poddać, choć do nich dla postrachu z harmat wystrzelono, i owszem rzucili się wyrzynać jeńców swoich, w jednej tam chatce zaryglowanych. Jakoż zastano już zarzniętych 18 żydów, kilka żydowek, jednego Unjata i Xiędza, resztę nadbie-

gająca piechota ocaliła. Uderzyli Grenadjery na bagnety i kłuli jak wieprzów. Zabito trzech, powiązano resztę, ale tak srodze poranionych, że większa ich liczba do trzeciego dnia pomarła. Z naszej strony zginął tylko jeden dobosz i kilku żołnierzy rannych nożami zostało. Odbito z niewoli sześciu Unjatów z żonami, Xięży pięciu, dwóch Jezuitow, szlachcianek pań i panien przeszło dwadzieścia, i szlachty więcej tuzina, wszystkich spakowanych jak śledzi w owej chałupie i odartych prawie do naga. Ale poźniej odkryto jeszcze po jarach kilkunastu szlachciców zamordowanych. Znaleziono koni tak w batowni, jako też pod kulbakami i lożnych sto kilkadziesiąt, pojazdów, półkrytków, bryk, wozów, skarbniezków, kufrów, skrzyń, tłomoków, puzder i sepetów zagrabionych na szlaku, mnóstwo wielkie skupionych było pomiędzy stertami. Regimen-

tarz i Książe Starosta kazimierski, trzeciego dnia dopiero przybyli z wojskiem na ono miejsce. Oswobodzeni jeńcy z rąk zbojeckich wyszli na powitanie ich z nie udaną radością i dziękczynieniem. Zdobycz którą i przy Hajdamakach i w batowni i w powozach znaleziono, była niezmierna. Spisano porządnie rejestr wszystkiego, a właściciele pozostali przy życiu, oświadczali co im zabrano mianując sprzęty, suknie i worki; poczem wprowadzono ich do osobnego szałaszu, w którym rozłożone były grabieże, a poznawszy swoje podług opisu zabierali.

I tu trzy dni odpoczywało wojsko. Odbył się z rozkazu Wodzów, po żałobném Nabożeństwie w dolinie śmierci przyzwoity pogrzeb ciał pomordowanych Chrześcjan, na smętarzu najbliższej wioski. Żydom zaś dozwolono zabrać trupów swoich jednowierców dla pochowania ich według wła-

snego obrzędu. Z pozostałej zdobyczy, wojsko znowu otrzymało podział, a młody Lubomirski, Jenerałem mianowany został, i zaraz posłano do Króla Jegomości gońca, prosząc o potwierdzenie. Dla Sędziego wojskowego i kata, znalazło się pole do nowych badań i tortur, poczém kilku pozostałych przy życiu Hajdamaków na miejscu ćwiertowano lub na pal wbito, a jednego po złamaniu mu rąk i goleni, zawieszono za żebro na żelaznym haku, bo też ten do największych przyznał się zbrodni. Był to jakiś oszust, Popowicz z Wołynia; wpadł w oko pewnej podżyłej już Jejmości; otruł jej męża i sam się z nią ożenił. Zrobiła mu zapisy majątku, a on zaczął się już mianować obywatelem, a nawet Panem Miecznikiem. Pożniej zbrzydziwszy sobie babę, struł ją z kolei, a dobra zagarnął. Zaczął następnie gwałty i zajazdy wyrządzać sąsiadom.

Pozwano go do kryminału i zadano Kaduka. Przekonany prawem, uszedł z Wołynia i przystał do Hajdamaków, których zadziwił wymyślném okrucieństwem, z jakiém znęcał się w zadawaniu mąk nieszczęśliwym ofiarom, badanym o wykrycie przechowanych pieniędzy; i zasłużył u zbójców na przezwisko *Konfessata.*

Trupy poległych opryszków tenże sam co i pierwej miały pogrzeb; rozesłano ćwierciami po miastach i gościńcach.

Rozeszło się wojsko po dawnych leżach; a Pan Regimentarz i Wojewoda Tarło, udali się z Księciem Starostą kazimierskim do Połonnego.

Powrót nasz był tryumfalny, przy ciągłym biciu z dział na wałach i palbie z ręcznej broni. Na samym wstępie, Komendant fortecy, stary Francuz Szambon, podał na sutém axamitném wezgłowiu klucze od twierdzy Księ-

ciu Staroście, a ten złożył je jeneralnemu Regimentarzowi. Cechy mieszczan i kahały żydowskie czekały u krzywéj bramy; a w zamkowéj Rektor Jezuitów, na czele swoich Księży, spotkał Wodzów i powitał mową, w któréj porównał ich do jakiegoś rzymskiego Wielkiego Pompusa, co także kiedyś wojował z rozbojnikami, a młodego Księcia Marcina, że tak śmiało wpadł do lasu, pobratał z jakimś rycerzem Kurtusem, który niegdyś w otwartą otchłań miał się rzucić.

W pałacu Księżna Starościna, z licznem gronem gości, na ganku radośnie przywitała zwycięzców. Między przybyłemi znajdowała się Księżna Podstolina koronna i Księstwo Jabłonowscy Wojewodowstwo poznańscy. Obiad suty, rzęsiste kielichy, wystrzały działowe na szańcach a wieczorem sztuczne ognie i tańce, zakończyły ten dzień wesoły. I człowiek też, mój Dobro-

dzieju, nie próżnował ani się dał prosić do kolejnych wiwatów, ni też ciągnąć za ucho do skocznych pląsów. Młody Marcinek i Stryj jego Książe Franciszek Lubomirski świeżo z za granicy przybyły, i kilku innych postrojonych kuso po francuzku, tańcowali Menueta, Szkota, Strasburgskiego i Sztajera; my zaś kuntuszowi z respektowemi pannami Księżnej, Mazura, Krokowiaka i Lasze, a wszyscy razem zakończyliśmy bal ruchawym Drabantem.

Nie na tym jednym dniu skończyły się uczty i pląsy w Zamku połońskim, bo za dawnych czasów, zjeżdżano się rzadko wprawdzie, ale za to na długo. Tandem tedy dnia trzeciego odbyło się dla Dam widowisko naśladujące ów napad na Hajdamaków, w onej dolinie między stertami. Za jednem z przedmieść, upatrzono położenie miejsca nieco podobne do owej okolicy. Były tam i sterty, sklecono i

chatkę w jarze. Niektórych żołnierzy poprzebierano za Hajdamaków, innych za pojmanych podróżnych, nie brakło i niewiast poprzestrajanych. Naprowadzono koni, powozów, kufrów, słowem: co tylko było potrzebném do udania tego wypadku. Całe towarzystwo pałacowe pojechało na one miejsce, Damy i poważniejsi wiekiem mężczyzni w licznych i świetnych pojazdach, młodzi zaś wszyscy konno. Gdy już zajęto, umyślnie na to przygotowane, ławy stopniowo ustawione i kobiercami pokryte, za danym przez wystrzał harmatny znakiem, widowisko rozpoczęło się tym samym porządkiem, jak ówdzie odbywało się po prawdzie. Piechota i Kozacy horodowi, rozstawieni zdała, zbliżać się i okrążać zbojeckie legowisko zaczęli. Książe Marcin wygramolił się na stóg siana i przypatrywał się wszystkiemu przez perspektywę —

a Francuz Gubernor, jako naoczny świadek, tłumaczył Księżnie i Damom szczegóły owego spotkania z Hajdamakami. Książe Marcin wysłał jednego z pojmanych szpiegów do rozbojnikow, upominając aby się poddali, gdyż są otoczeni. Za całą odpowiedź dwunastu Opryszków wyjechało konno na wzgórek łżąc i złorzecząc Lachom. Dano do nich ognia z dwóch dział, i dwóch zwaliło się z koni, reszta umknęła pędem ku owéj chatce; i rzuciła się umordować jeńców. Grenadjery poskoczyli spiesznie i wyłamali drzwi krzycząc. *bij*! *zabij*! na bagnety! Nuż bitwa i rzeź na sztychy i noże, nuż wywlekać rannych i trupów, Hajdamaków i pojmańcow. Udana krew toczyła się strumieniami, brocząc zwycięzców i zwyciężonych. Księżna matka i przytomne panie rozpływały się nad młodym Lubomirskim, który był bohaterem dnia onego. Szkoda

tylko, że południe i zachód życia jego, nie odpowiedziały nadziejom które, wróżył poranek. Sprawdziło się na nim to, co nasze pospólstwo mawia czasem o dniu wiośnianym: „*O! pono dziś nie dotrwa pogoda, bo coś jasne słonko schwyciło się nazbyt rano.*“

Nazajutrz, na teatrze od nie dawnego czasu sporządzonym, grano komedję francuzką. Tłumaczyli mi to piąte przez dziesiąte; tyle tylko pamiątam, że w niej siła broi jakaś Turkini, polubienica sułtańska z nazwiska bardzo podobna do naszéj popadianki z Rohatyna, owéj Roxolany, która jak niesie podanie, miała także być żoną któregoś Tureckiego Sułtana.

—Czy nie Roxana? przerwałem.

— O tak, tak mój bracie.

— A więc to była tragedja Rassyna, pod tytułem: *Bajazet.*

— Może to być mój Dobrodzieju! Znajdowałem się na niéj jak na nie-

mieckiém Kazaniu. Występowali w rolach męzkich, Książe Marciu, jego Ochmistrz i lekarz półkowy także Francuz; w kobiecych zaś siostra Księżny Starościny, Ochmistrzyni francuzka małej Księżniczki i córka starego Komendanta Szambona. Aże nie znalazło się między dworskiemi pannami żadnej, coby umiała *parle franse*, bo to wówczas nie tak wszyscy jak dziś paplali tym *bonżurowym* językiem, więc tancmistrzowi Włochowi dano czwartą niewieścią rolę, a młode i nikłe Włoszątko, dość zręcznie udawało Bisurmankę. Ubiory aktorów były pyszne. Aże to niby rzecz odbywała się między Turkami w seraju stambulskim, więc sprowadzono znacznym kosztem materji różnych i krawców tureckich z Chocima, dla przystrojenia ich po bisurmańsku. Musiało w tej tam Komedji być coś bardzo rozczulającego, bo i Księżna Starościna i drugie panie

ocierały sobie częstokroć oczy chustkami, wołając: *brawo! szarman! sublim!* Mnie zaś wydało się arcy-pociesznem, widzieć Turków rozmawiających po francuzku, a w zawojach, papuciach strojących do kobiet tak czułe koperczaki jak jakie przepachniałe paryzkie migdaliki. To też kiedy mi powiedziano, że brat sułtański uduszony został, nie żałowałem bynajmniej tego mazgaja.

Za tę parę godzin, które jak głuchoniemy przegawroniłem, wytrzeszczając oczy a nic nie rozumiejąc, nagrodziłem sobie nazajutrz, na wielkich łowach, które nam wyprawił Książe Starosta: ubiłem bowiem dwóch rogaczy i odyńca. Jakim zaś sposobem wróciłem z polowania? nie pamiętam, bo na obiedzie myśliwskim danym pod namiotem w lesie, tak nas wszystkich uraczył Książe, zwłaszcza gdy ku końcowi, rzuciwszy kielichy, z trąbek

myśliwskich pić zaczęto; żc człowiek i o bożym świecie zapomniał. Bodźcem do tej srogiej pijatyki, była dość żwawa sprzeczka o zabitego łosia między Książętami Józefem i Stanisławem Lubomirskimi, jeden i drugi bowiem utrzymywał, że zwierz padł od jego strzału. Jakże nie pojednać nadąsanych braci? a pojednawszy jak nie wypić *wiwat zgoda i miłość braterska*! Tak zaś piękne zdrowie godziż się jednym tylko uczcić puharem? Powtarzano więc tyle razy i tak gorliwie sławioną miłość i zgodę braterską, że nakoniec i gospodarza i gości hajducy wpakować do pojazdu musieli.

Po kilku dniach uczt i tańców, całe towarzystwo udało się do Łabunia zaproszone od Księcia Jabłonowskiego Wojewody poznańskiego, który one dobra trzymał przez zastawę od Lubomirskich. Książe Marcin tylko pozo-

stał, mając sobie przez ojca zleconą straż i dowództwo twierdzy połońskiej. Była to na niego łapka, ale z niej wyszedł z honorem. W Łabuniu bowiem wśród zabaw i bankietów ułożono zamiar ubieżenia znienacka warowni, dla nauczenia czujności młodego dowodzcy. Sam Książe Starosta kazimierski podał pomysł do tej tajemnej wyprawy. Zgromadzono z parę tysięcy wojska, tak z przybocznej straży Księcia Antoniego, jako też regimentarskiej, oraz z nadwornej załogi łabuńskiej i stryjowskich kozaków; ściągniono piechotę i Rajtarów z Równego, a Książe Sanguszko garnizonowi zasławskiemu przyjść kazał. Wszystko się działo jak najskryciej i o prawdziwym celu mało kto wiedział. Ale przewąchał Marcinek że na niego się gotują. Zdaje mi się iż arendarze łabuńscy wzniecili w nim myśl podejrzliwą. Nie było prochu w zbrojo-

wni łabuńskiej, kazano więc arendarzom dostawić sto cętnarów prochu, które należały się od nich corocznie jak dodatek do karczemnego kontraktu. Żydzi wiedząc że w prochowni połońskiej był znaczny zapas, udali się do Księcia Marcina prosząc, aby im odstąpił sto cętnarów prochu. Przyjął umowę; a dowiedziawszy się od żydów, że się wojsko w Łabuniu zbiera, zaczął nad tém przemyślać i posłał cichaczem na wywiady jednego z Oficerów. A tymczasem gotował się do obrony. Kazał naprędce garncarzom nalepić kul działowych z gliny, które próżne wewnątrz i nie grubsze jak garnki, a dziurawe, lecąc po wystrzale z warczącym hukiem, miały się w powietrzu rozrywać na drobne miazgi. Wrócił i Porucznik ze szpiegostwa, i doniosł co schwycił z mów potocznych w Łabuniu o planach Książąt. Czuwał tedy młodzieniec, a załogę i

rynsztunek trzymał na pogotowiu. Wyprawie łabuńskiej przewodniczył ów Półkownik niemiec (podobno Szuk nazywał się) o którym wspomniałem w potrzebie jaltusztowskiéj. Ruszyło wojsko nad wieczorem i nie zatrzymało się aż w pól-mili od Polonnego dla odpoczynku. Nim zaś świtać zaczęło, już było pod twierdzą. Szturm miał być przypuszczony we dwóch miejscach od rzeki Chomoru, gdzie wały łatwiéj przebyć można było. Ale zaledwo na groblach i mostach głuchy szmer i tentent dały się słyszeć, wypuszczono z bastjonów palne wieńce, które oświeciły podstępny zamach. Dopieroż jak zaczną działa z rątlów prażyć owemi garncarskiemi kulami, to taki Mospanie rejwach i huk zrobiły, jak gdyby piekło wrzało. Biédny niemiec stracił głowę, bo mu się zdało, że prawdziwemi kulami strzelają. Nie mogąc trafić na powrót do grobli,

zapakował się gdzieś między palisady; a tymczasem dnieć już zaczęło; zrobiono wycieczkę z twierdzy, przecięto mu powrót i dostał się w niewolą. Książęta i Pan Tarło, którzy z przedmieścia Marjann przyglądali się wyprawie, nadjechali. Osypano pochwałami młodego Lubomirskiego za czujność, przezorność i gotowość, a nieboraka Szołdrę okryto pośmiewiskiem,

Książe Starosta kazimierski oświadczył synowi, że wyrobił dlań order S. Huberta, a przywilej elektorski wczoraj przywieziony mu został; i że w dniu imienin stryjowskich pasowany zostanie na Kawalera. Nadszedł też i święty Franciszek Borgjasz. Zjechało się zewsząd mnóstwo zaproszonych gości. Przybył dla Celebry i JW. Pasterz Biskup łucki Kobielski, z orszakiem Kanoników. Zrana harmaty ryknęły sto razy na wałach, piechota ręcznego sypnęła ognia, a muzyki zabrzniały

pod oknami na dobrydzień Sołlenizantowi. Następnie Książe Franciszek Chorąży koronny; odbierał od wszystkich powinszowania, po których przeniesiono się do wielkiej pałacowej sali. Tam na czterech bogatych węzgłowiach leżały, krzyż S. Huberta, gwiazda orderu, dyplomat elektorski i kosztowna szabla turecka, niegdyś zdobyta pod Wiedniem przez jednego z Tarłów, a ów dzień darowana w upominku wnukowi przez Wojewodę lubelskiego. Wystąpił z mową Książe Starosta kazimierski, dziękując Elektorowi Palatynowi za nowo udzielony zaszczyt domowi Lubomirskich. Książe Franciszek naznaczony listem elektorskim do spełnienia obowiązków Mistrza obrzędów w przyjęciu nowego kawalera, odpowiedział w jego imieniu i po winszował synowcowi orderu. Udano się zatem processjonalnie do Kościoła farnego, pomiędzy dwóma sze-

regami uszykowanych żołnierzy. Postępowano parami, a ten ogon długo się ciągnął; bo naprzód szli wszyscy officjaliści od pisarza aż do Kommisarza, potém paziowie, pokojowi, dworzanie, koniuszy, Sekretarz i Marszałek; daléj obywatele przybyli i panowie; za niémi Dygnitarze i orderowi, za którymi niesiono owe węzgłowia z ozdobami kawalerskiemi. Książe Franciszek szedł na ostatku przybrany we wstęgę i gwiazdę S. Huberta, w czarnym atlasowym hiszpańskim stroju, z czerwonemi kompankami, w płaszczu takimże i w kapeluszu ocienionym kilku piórami. Za nim o kilka kroków po lewéj stronie, Książe Marcin podobnież odziany. Czekał już w Kościele JW. Pasterz. Naprzeciw tronu biskupiego, wspaniałe krzesło przygotowane było dla mistrza obrzędów; lecz Książe Franciszek stanął tylko przy niém; ale nie zasiadł. Złożono znaki

kawalerskie przed wielkim Ołtarzem. Odspiewano *Veni creator*, i rozpoczęła się czytana Msza biskupia, w czasie któréj ozdoby orderu JW. Pastérz pobłogosławił. Potém Wojewoda Tarło i Książe Stanisław, jako kumowie, przywiedli pod ręce młodzieńca przed stryja. Sekretarz Księcia Franciszka Ussarzewski, przeczytał mu Statuta ordera, a kumowie przyrzekli za niego, że je zachowa. Przemówiwszy pokrótce do synowca, wskazał, by przykląkł na jedno kolano, i dobywszy podanéj sobie szabli, wywinął nią po trzykroć, i trzykroć klęczącego po ramieniu uderzył, a potém przypasał mu ją do boku. Następnie włożył nań wstęgę orderu, a kumowie gwiazdę mu przypięli. Zatém wiedli go przed tron biskupi; tu na oba klęknąwszy kolana, trzymając rękę na świętéj Ewangelji,powtarzał przysięgę czytaną przez jednego z Kanoników. Wróciwszy na

srodek Kościoła, zmięszanym trochę głosem palnął orację łacińską, w której jak mi wytłumaczono, dziękował i Elektorowi i Biskupowi i ojcu i dziadowi i stryjowi.

Tandem wystąpił z kazaniem ksiądz Superior Jezuitów Hadziewicz. Nie wiele on wprawdzie powiedział ku zbudowaniu wiernych, bo całą przemowę swoję poświęcił na wystawienie zacności rodu i świetności imienia Lubomirskich, wyliczając mitry i infuły, buławy i laski, pieczęci i krzesła, dostojeństwa i powinowactwa sławnego domu Szreniawitów. Skończył tym wnioskiem: że gdy rodzina szrzeniowa przeciąga się jako wstęga na herbowéj tarczy Lubomirskich, przystoi zatém aby młodzieniec z téj krwi znamienitéj ozdobił pierś swoję szlachetną wstęga orderu; którego gwiazda jak tarcza Sobieskiego na empirejskiem niebie, jaśnieć będzie na łonie potom-

ka tylu sarmackich luminarzy, którzy nakształt mlécznej drogi promienieją na widnokręgu polskiéj ziemicy. Huknęło głośne *Te Deum*, na szańcach zagrzmiały działa, i wpośród wesołych powińszowań, składanych świeżo pasowanemu rycerzowi, wrócono do pałacu, w którego niezmiernie przestronnéj sieni nakryty już był stół w krzyż kawalerski na trzysta osób.

Wieczorem przedstawiano na teatrze jakieś pląsy i skoki murzyńskie. Tu popisywały się panny z Francymeru księżny Starościny, który był liczny i z samych Cześnikówien, Podczaszanek i Stolnikówien złożony. Poczerniono dziewczęta gdyby djabelków; a szkoda, bo urodziwe były. Pouczone od Włocha tancmistrza cale zgrabnie młynka się kręciły. Młodzi Oficerowie od piechoty, co szykowniejsi, udawali Murzynów. Ale kto najbardziéj, w tym jak, to nazywano, balecie, od-

znaczał się najżwawszą plątaniną nóg i najwyźszemi susami, to nasz hubertowy rycerz. Kiedy mi to było przeciwném widzieć go w jednym i tymże samym dniu figurującego i w poważnym obrzędzie i w łamanych sztukach, i udzieliłem moich uwag jakiemuś siedzącemu obok mnie sensatowi (wprawdzieć po niemiecku był ubrany, ale wydał mi się człowiekiem poważnym, bo coś myślał i czoło namarszczył) ten tedy mędrek odpowiedział mi; że młody Lubomirski w niczém sobie nie ubliża, bo idzie za przykładem króla francuzkiego wielkiego Ludwika, który nieraz występował w baletach na dworskim swoim teatrze. Pomyślałem sobie, że nie wszystko to rozumne, czego się za granicami uczą.

Po tych murzyńskich skokach, ochotniejsze nastąpiły korawody, bo weszło na teatr 12 wesel z muzyka-

mi swojémi, lecz nie udanych, ale prawdziwych. Bo właśnie w tym dniu pobłogosławiono śluby dwunastu żołnierzy z załogi, z tyluż mieszczankami połońskiemi. Nowożeńcy i swaty, drużbowie i druchny, tańczyli do upadłego i kozaka i trapaka, węgierskiego i mazura, kołamyjkę, obertasa i krakowiaka, a miód zapijali szklannicami, bo go im hojnie szafowano. Żydkowie zaś i cygani przygrywali od ucha żwawo i pod nogę. Książe Starosta nie chcąc byśmy na sucho przypatrywali się hulającym weselom, skinął aby podano wina. Wniesiono kosze, poszły kielichy, a spore a gęste i tak nie odmawiane, że mało kto z mężczyzn mógł się pojawić na wieczerzy. Sama tylko gołowąsa młodzież tańcowała na sali. W kilka dni dopiéro zaczęto się rozjeżdzać. Śmiało mogę powiedzieć, że winem, któreśmy w Polonném wypili, pożar w mieście mo

żnaby ugasić, a prochem, który na wiatr wystrzelano, Kamieniecbyś zdobył. Tak to, tak, mospanie, biesiadowano po staropolskich pańskich dworach!

— Ale Pan Starosta, rzekłem, obiecał mi opowiedzieć powtórną swoję wyprawę na Hajdamaków.

— Moj Dobrodzieju! już poźno; odłóżmy to do jutra; bo stary grzesznik więcej niż wy młodzi, potrzebuje czasu do porachowania się z Panem Bogiem ze stuletnich swoich wybryków. Dobranoc ci zatem kochany chłopcze.

III.

Po staremu: ogniem; mieczeni
Wytniem, spalim i ucieczem.
Może znowu będzie w Siczy
Pełno łupów i zdobyczy.

BOHDAN ZALESKI. *Duma Mazepy*

Nazajutrz będąc zaproszony w sąsiedztwo, wieczorem dopiero wróciłem do Barmak. Wchodząc do pokoju Pana Starosty, zapytałem go o zdrowie.

— *Zdrów jak malon, niech będzie Chrystus Pan pochwalon*, odpowiedział wesoło. Siadajże kochany rycerzu. Byłeś na obiedzie u Marszałkowstwa; no powiedz mi, co tam nowego słyszałeś?

Zdawszy sprawę z odwiedzin moich i zasiadłszy u stolika, przypomniałem Panu Staroście wczorajszą obietnicę.

— Ha! mój Dobrodzieju! przyrzekłem ci opowiedzieć drugą naszą wyprawę na Hajdamaków; więc słuchaj, a nie śmiej się w duchu z gadatliwości starca.

— Mógłżeby Pan Starosta mniemać... rzekłem.

— No, no, no, nicby w tém dziwnego nie było, zresztą byłby to oddany chleb; bo ja też kiedyś, pamiętam, będąc pacholęciem, naśmiewałem się z poczciwego Staruszka Przeradowskiego, sąsiada rodziców moich, który nam szeroce i nie po jednokrotnie gwarzył o Królu Janie, o wyprawie wiedeńskiej, o bitwach pod Parkanami i Strygoniem, na których się obecnie znajdował. A jeżeli tak wielkie i znakomite przewagi częstém powtarzaniem mo-

gły spowszednieć uszóm młodzieńczym, czémże się wydadzą mało ważne postronne wypadki? Chociaż i to prawda, że jeśli tęgiego Niemcóm napędził Piotra wielki Wejzyr Kara Mustafa oblężeniem Wiednia, tedy i Wołyniaków niemałego popłochu nabawił napad Watażki Seńki Czortowusa.

Tandem tedy nie spełna dwóch lat po jałtuszkowskiéj rozprawie zaczęła się po kraju szerzyć pogłoska, iż potężny zastęp Hajdamaków, wdarłszy się z za Sieniuchy rzeki, splądrował Kijowszczyznę i puścił zagon głęboko w Polesie, a wracać ma przez Wołyń. Lecz gdzie wytknie z puszcz, na pola, którędy pójdzie nie wiedziano. Coż to za powszechna trwoga, co za przestraszające wieści krążyły pomiędzy mieszkańcami! A co mila to rosły w ogromie swoim. Nie było inszéj rozmowy tylko o Hajdamakach.

Tam widziano jakichś podejrzanych ludzi, to żebraków, to włóczęgów, zapewne to szpiegi zbojeckie, ówdzie rabusie spalili dom razem z właścicielem i jego rodziną. W Owruckiem całe jedno miasteczko obrócili w perzynę, a żydów w pień wyrznęli. W Mozyrskiem, Kościoł jakoby i kilka cerkwi zrabowali, w innem znowu miejscu napadli na Klasztor i Zakonników piekli ogniem i żyły pruli. A z każdym dniem potęga Hajdamaków pomnażała się w opowiadaniach, tak, że już ich może naliczono w dziesięcioro więcej niż było w istocie. Na drogach spotykano co krok szlachtę i żydów uwożących żony, dzieci i co droższe ruchomości do miast i Zameczków kluczowych, gdzie jakąś spodziewali się znaleźć ochronę.

Księżna Podstolina koronna była podówczas właśnie na zlężeniu. W Równem dużo znajdowało się nadwor-

nego żołnierza; ale że to nie obronne miasto, przeto mąż dla lepszego bezpieczeństwa i spokojności, umyślił zawieźć ją do twierdzy połońskiej, aby tam połog odbyła.

— Przepraszam, rzekłem, że przerywam Panu Staroście. Z jego opowiadania miarkuję, że Połonne było bardzo warowną twierdzą i mieszkaniem magnackiém; lecz ja teraz przejeżdzając tamtędy dostrzegłem wprawdzie śladu wałów, ale ni bram obronnych, ani pałacu widzieć mi się nie zdarzyło.

— Ho! mój Dobrodzieju! zawołał staruszek, potężna jest ręka czasu do rozsypania w zwaliska wzniesionych dla wiekowania pomników; ale potężniejsza jeszcze niedbałość ludzka, co na gmachy przez przodków dzwignione obojętném spogląda okiem, i nie tylko nie chroni ich od upadku, ale jeszcze z gruzów nikczemny robi użytek.

Słyszałem ja także iż tam poburzono potężne bramy fortecy, że pałac Książęcy dozwolono rozebrać żydom po cegiełce, a rumowisk użyto do brukowania ulic w ogrodzie; słowem że jak to powiadają odarto Kościół dla zbudowania Kapliczki. Taka to kolej ludzi i dzieł człowieczych! Zresztą Połonne oddawna już przeszło po kądzieli w posiadłość innej rodziny. Ale co mię starego najwięcej oburza, to to, iż dzisiejsi dziedzice nie dbają o chwałę Bożą i dozwalają pięknemu Kościołowi farnemu niszczeć i pękać, skąpiąc na poprawę dachów, ścian, sklepień i gzemsów; chociaż jako miejscowi kollatorowie, obowiązani są łożyć koszta potrzebne na ten pobożny przedmiot. Ale Bóg z nimi, powróćmy do rzeczy.

Tandem tedy, od niejakiego czasu Księstwo Starostwo kazimierscy znajdowali się w dobrach swoich w San-

domirskiém, skąd do Lublina dla sprawy w Trybunale zjechać zamierzyli sobie. Syn ich Marcin, zostawiony przy dowództwie fortecy, ofiarował cały pałac na rozkazy Księżny Podstoliny. Wyruszyliśmy więc z Równego, przeprowadzani przez liczny poczet Rajtarów i Kozaków; piechota zaś naprzód wyprawiona została. W Sławuckich lasach spotkał Księstwo młody Lubomirski (już podówczas Jenerał) na czele silnego oddziału wojska i z czterema działami, z których w czasie odpoczynku w lesie, kazał dla uciechy Księżny kilka sosen zgruchotać.

Stanąwszy szczęśliwie w Połonném zastaliśmy wszystkie domy zajezdne i mieszczańskie zawalone przybylémi rodzinami z bliższych i dalszych okolic, szukającémi schronienia pod zasłoną twierdzy. Niebyło dotąd wiadomo z pewnością, kędy zwrócili się Hajdamacy. Wysłano na szpiegi ży-

dów; lecz wrócili nic niesprawiwszy; bo chociaż nęciła ich obiecana sowita nagroda, ale strach dostania się w szpony rozbójnicze przemagał nad żądzą zysku.

Nareszcie Książe Marcin wyprawił ośmiu wiernych i przebiegłych kozaków, dawszy każdemu po dziesięć czątych na drogę, a przyrzekając dać dziesięć razy tyle temu, co przyniesie niepłonną ale rzeczywistą wiadomość o drodze i sile Hajdamaków. Ruszyli Kozacy każdy w swoję stronę. Długo, długo nie było o nich wieści; czterech wróciło z niczém. Skupiona w Połonném szlachta, przymuszona drogo opłacać niewygodne gospody i ladajakie przypasy, już zaczynała szemrać, że ich łudzą baśniami, że jeśli byli Hajdamacy, tedy musieli już wrócić do swoich legowisk; i zaczęła się wybiérać do własnych domów. Wtém dwaj z wysłanych Kozaków, Hładki i Ło-

boda (bo pamiętam jak dziś i tych dwóch drugich przezwiska) wrócili z wywiadów. Stawiono ich natychmiast przed Księciem Marcinem. Przybyli oba pieszo i w wieśniaczych siermięgach i taki zdali raport, przy którym ja tylko z Książętami byłem obecny.

„Mylostywy kniaziu i batku, bili-„śmy się długo z osobna po kniejach „i bezdrożach, nimeśmy przypadkiem „zjechali się z sobą u jednego futoru „w głuchym cwecie nad ruczajem. Tam „dopiero powzięliśmy niemylne słu-„chy o stanowisku Hajdamaczem a my „też udawali, że chcemy przystać do „mołodców. Otoż nas nauczył którędy „do nich przebierać się mamy. Aże „nam powiedział iż oni potrzebują „przykupić koni, więc zawróciliśmy „oba do miasteczka do Zwiahla, gdzie „wymieniawszy nasz ubiór kozaczy „na chłopską odzież, kupiliśmy za pie-

„niądze dane nam od Miłościwego Knia-
„zia po drugim jeszcze podjezdku, i
„wiadomemi już manowcami puścili-
„śmy się ku przystaniszczu molodców,
„udając się za parobków wiodących
„konie na przedaż. Dowiodło się nam
„przecież dostać do ich taboru. Ro-
„złożyli się oni ztąd o dobre mil dzie-
„sięć w pośród głębokich lasów, w u-
„roczysku nazwanem *obozowisko*. Już
„tam byli dwaj nasi bracia Kozacy,
„Kiryło Łasun z Iwanem Woroną.
„Ci nibyto przystali do Hajdamaków,
„a pokazują, że się nie znają z sobą.
„Łasun osobliwie zyskał u nich wiel-
„ką wiarę, i ze starszyną żyje za
„pan-brat. A jak bogato chodzi od
„złota i srebra jakby jaki wielmoża.
„Ależ oni wszyscy postrojeni w zło-
„ciste pasy, taj w karmazyny, w szol-
„kowe żupany, taj w sobole kołpaki;
„a broń przy nich taka drogocenna,
„żeby i Basza turecki niepowstydził

„się nosić jej u boku. Poprzedali-
„śmy im nasze podjezdki i z kulbaka-
„mi; suto płacą i ot w kalitkach od-
„nosimy czerwońce milostiwemu Knia-
„ziu. Worona stronił od nas żeby się
„nie popadł w porozumienie, a tylko
„z boku spoglądał gładząc wąsa i mru-
„gnął czasem znienacka brwi namar-
„szczywszy. Ale co Łasun, to był
„przy przedaży koni i targu dobijał
„i pił mohorycz, a kazał żebyśmy
„więcéj przyprowadzali, a jeszcze o-
„kulbaczonych; a na stronie szepnął
„nam, że Watażka Czartowus nie ze-
„brał dotąd wszystkich jeszcze mołod-
„ców rozesłanych za zdobyczą, któ-
„rych razem ma zgórą trzystu; że się
„dopiero dwie czaty zeszło, a drugie
„dwie naciągnąć mają; że oni po ju-
„trze rnszają z tego miejsca, o parę
„mil daléj do uroczyska zwanego *Mo-*
„*gita Mazepy*, gdzie wszystkim szaj-
„kom zbór naznaczony, a ztamtąd

„dźwigną się razem dalszego probo-
„wać szczęścia. Kazał nam ptaszkiem
„powracać i zawiadomić miłościwego
„Kniazia na ucho, aby był gotów i
„miał nogę w strzemieniu, a z drugimi
„nie zadawać się w rozmowy, bo Haj-
„damaki mają wszędzie swoich szpie-
„gów. A jak staną u Mazepinéj mo-
„giły, to on musi zostać żeby ich tu-
„manić, ale Worona da drapaka, i mi-
„łościwego Kniazia taśmą na Hajdama-
„ków naprowadzi.“

Dał Książe Kozakom tym po 50. czątych, obiecując doliczyć resztę za sprawdzeniem doniesienia i skryć się im do czasu rozkazał. Sposobiono wszystko do pochodu, niewyjawiając celu i czatując na przybycie Worony. Jakoż trzeciéj doby o północy stanął u bramy zwanéj Kijowską, jeżdziec na koniu uznojonym i zadyszałym, i żądał by go natychmiast wpuszczono do twierdzy. Był to Worona, ale nie

do poznania, bo w perłowym kuntuszu z guzami rubinowémi, i zbrojny po hajdamacku. Oficer od warty stosownie do wydanego rozkazu zaprowadził go na odwach, gdzie niebawnie i Książe Marcin pośpieszył. Pokłoniwszy się Księciu do kolan, zaczął Worona rozpowiadać, jako przybywszy do mogiły Mazepy, drugiego dnia, kiedy jedna z oczekiwanych szajek rozbójniczych nadciągnęła, w pośród gwaru i krzątaniny ogólnéj, upatrzył chwilkę przyjazną do ucieczki tak, że ani postrzeżonym, a więc gonionym nie był. „Trzeba się nam, rzekł, śpieszyć „myłostywy Kniaziu, bo jutro reszta „ma się zejść z Watażką, a za dni „kilka ruszą w stepy ciągnąc na Konstantynów, który we dnie napaść, „zrabować i zapalić uradzili, bo czują „się na siłach. Stanowisko które zaj- „mują, zarosłe młodym borem i na kil- „ka staj przestronne. Ale obstąpić ich

„można; bo to ostrów naokoło opasany „rzeczką i grząskiem bagnem, którego „ni człowiek, ni koń, ni sobaka nie- „przebrodzi; a tylko trzy groble do „niego wiodą. Należy nam nabrać „chleba i strawy na dni cztery, bo ja „was Mylostywy batku, lasami i bo- „rami przeprowadzę, a tylko na jedne „sioło iść będziemy dla przebycia Slu- „czy; a piechotę i puszkarzy warto- „by wieść na podwodach. Hajdama- „ki pozuchwalone szczęściem, nie bar- „dzo się pilnują, bo im dotąd nie zaglą- „dnął nikt w oczy; a szpiegi ich, co tu „byli w Połonnem, donieśli im iż for- „tece ukrzepiają, bo się ich tu boją, „to im ani w głowie żeby kto szedł „ich szukać. Bezpiecznych łatwo zejść „można, byle nie tracić czasu.“

Zawinął się młody dowódzca. Już też przyciągnęły były od dwóch dni z Baru półki Murdzenki i Barysławskie- go, pierwszy kozacki, drugi pieszy, a

w obu razem liczono do sześciuset ludzi. Do tego połączywszy Regiment pieszy Starosty kazimierskiego, oddział piechoty z Równego, część garnizonu Rajtarów nadwornych, Kozaków Połońskich i Rowieńskich, zebrało się na podjazd około 600 jazdy, szłapaków 750. i harmat 18. Trzeba zaś wiedzieć, że się uszczupliło wojsko w Połonném, bo przy dworze podróżnym Księcia Starosty poszło do Polski 21 rajtarów i 50 Kozaków, a piechoty 50 z trzema Oficerami wyprawiono do Warszawy przy furach wiozących potasze, słoniny i masła na przedaż.

Zaprosiłem się i na tę wyprawę, bo Księżna Honorata i Książe Podstoli koronny zobowiązali mię skrycie abym jechał i czuwał nad życiem Księcia Marcina. Zpołudnia tedy wyciągnęliśmy przez Kijowską bramę. Za miastem koło Dertki czekało spę-

dzonych kilkaset podwód; po trzech piechurów siadło na każdą, i wojsko ruszyło, a Worona przodem ukazywał drogę. Były — to łowy na grubego zwierza, co to i wzrok i słuch i węch ma ostry, a ostrzejsze jeszcze pazury. Zabroniono więc pod najsurowszą karą wszelkiego gwaru, chrząkania, a nawet krzesania ognia i palenia tytuniu. Zwrócił Worona ze szlaku drożyną wprawo. Szedł podjazd wśród lasu, a milczkiem a cicho, tylko kiedy niekiedy, koło harmatnie lub od wozu stuknęło na korzeniu albo suchéj opadłéj gałęzi. Szliśmy ciągle i dniem i nocą z małémi spoczynkami. Do Służy nie najgorsze były przeprawy; lecz potém wleźliśmy w takie gęstwiny, zarośla, werteby i wyboje, że zaledwo podołano wozy i działa wyplątać z tego prawdziwie Poliskiego kołtuna. To szczęście, że za dnia zdarzyło się przebywać one bezdroża. Gdy-

śmy ,wybrnęli z téj puszczy i na rzadszy bór wydostali się, Worona skoczył z konia i z radości ziemię pocałował, dziękując Bogu, że bez przygody dał nam wyjść z owéj zapadłéj kniei, czego w nocy bez cudu dokazaćby nie można.

Rzadki to lud, te Kozaki rusiny! jacy praworni i przebiegli, a na przewodników nie znajdziesz im równych; w przygodzie zaś umieją zawsze sobie poradzić. A kiedy się który sercem przywiąże do Pana, to i Szwajcara nie szukaj.

Nie opodal tych zarośli był futor owego pasiecznika. Obskoczono go znienacka i pochwycono starego łotra. Kilku żołnierzy w chacie jego zostawiwszy na załodze, dla pilnowania żeby kto z jego rodziny nie dał znać Hajdamakom o naszym pochodzie, samego wzięto pod straż i kazano mu prowadzić do legowiska opryszków.

Worona uprzedził, że o mil parę, leży po naszej drodze mała lesna wioseczka z kilku chałup, którąby należało również niespodzianie otoczyć, żeby i stamtąd Hajdamacy niemieli przestrogi a razem może się uda jakiego języka schwytać od ich szajki. Wyprawiony zatém został przodem Półkownik Murdzenko ze swymi Kozakami i z Woroną, a my szliśmy opodal, prowadzeni ich śladem przez Pasiecznika i Łobodę. Udało się Murdzenkowi. nie tylko wioskę cichaczem oskoczyć, ale nadto ułowić dwóch Hajdamaków, którzy przyjechali tam za kupnem słoniny i chleba. I tu mołojec hoży a urodziwy, okazał się mniej zatwardziałym zbrodniarzem niż jego podżyły towarzysz; bo badany na osobności przez Księcia Marcina, wyznał mu ze łzami, że porwany dzieckiem od Hajdamaków na Podolu ze szlacheckiego domu, wzrosł na Siczy, jako wycho-

waniec i czeladnik rejestrowego kozaka, i na pierwszą wyprawę dopiero wysłany został pod okiem tego starszego, którego mu diadkiém (to jest wujem) kazano nazywać; że mu jeszcze nie ufają i na krok nie puszczają samego. Gdy mu zaś Książe obiecał nie tylko przebaczyć, ale nadto przyjąć do posług jako barwianego kozaka, jeśli wszystko wyzna szczérze i doprowadzi do taborów Watażki, przyrzekł i zaprzysiągł, że nie tylko doprowadzi ale wskaże miejsca najdogodniejsze do obsoczenia owéj kępy okolonéj bagnami, i przecięcia pasów na trzech groblach wiodących do niéj. Dodał i to, że już wszystkie szajki zeszły się u mogiły dnia wczorajszego, a po jutrze ruszają ku stepom i Konstantynowu. Zresztą co do opisu miejsca w którym Hajdamacy legowisko swoje obrali, zeznania jego zgodziły się z powieścią Worony. Lecz

od starszego rozbojnika niczego się niedowiedziano. Ani obietnice i upomnienia Sędziego Wojskiego, ni tortura w której kat przesadzał się, nie zdołały przełamać upornej niemocy zahartowanego w cierpliwość zbójcy. W tej tedy wiosce spoczęliśmy przez noc, aż nadciągnęły gromady chłopstwa z pod lesnych włości spędzone z rydlami i siekierami, a było ich około tysiąca głów. Zrana wdalszy puszczono się pochód, a Murdzenko z Kozakami przednią straż trzymał. Po cało-dziennym marszu, dostaliśmy się do jednego uroczyska, kędy przed laty musiała istnieć jakaś osada. Bo duży kawał wytrzebionego lasu zajmowały ślady ogrodów i zagonów, zgliszcza też chat i studnie zwiastowały pobyt niegdyś mieszkańców wtém miejscu.

Tu nawrócony Hajdamaka oświadczył iż tylko o duże pół mili

znajdujemy się od mogiły Mazepy i radził aby tam przeleżeć do godziny drugiej z północy, czyli jak on wyrażał, wskazując na wyiskrzone gwiazdami niebo, dopokąd nie zajdą kosarze. A gdy młody Lubomirski okazał obawę, aby Hajdamacy wtém miejscu nie wypatrzyli naszych: nie bójcie się, powiedział, żaden z nich tu w nocy nieodważy się zaglądnąć, bo oni to uroczysko mają za zaklęte, gdzie upiory i wiedmy wyrządzają psoty i straszą przychodniów; nazywają też je: *kucoho czorta słoboda.* Nie musiała to być noc kiermaszu piekielnego, bo żadne straszydło nieprzyszlo zaprosić do tańca jedynej wiedmy którąśmy mieli w osobie Markietanki obozowéj, żony pewnego Kaprala, dość pochopnéj do przejechania się na ożogu.

W miarę znikaniu gwiazd, widoczniejszemi stawały się łóny na niebie od ognisk rozbojniczych odbite. Sto-

sownie do zeznań Worony i młodego Hajdamaki, ułożono plan otoczenia rabusiów. Na wstępie do każdej z trzech grobel uradzono uszykować po sześć harmat, zabespieszywszy je oddziałami piechoty i rowem; chłopów zaś rozstawić na okół kępy w piętnastu krokach człek od człeka, którzy za danym znakiem przez wystrzał harmatni powtórzony z każdej baterji, powinni byli rąbać w pień drzewa; krzaki dla zrobienia zasieku. Murdzenkowi i Borysławskiemu, poruczono z Kozakami i Rajtary doglądać i napędzać siekierników; resztę zaś piechoty nad bagnem naokół jako strzelców rozstawić.

Owóż tedy w porządku i milczeniu wyruszyliśmy z *Kucego czorta słobody*, o godzinie drugiej z północy, zostawując tam bryki, podwody i konie wieśniacze. Poszło wszystko pomyślnie jak spłatka. Szarzejąca do

dniowka dopomogla ku porządnemu ustawieniu dział, wojska i chłopow w odstępach na około owych trzęsawisk; a snem opilców spiące hultajstwo ani zamarzyło, że go ułowiano w matnią, tém snadniej iż ufni w niedostępność aretów i bagnisk, zaniedbali nawet postawić straży na groblach.

Książe Marcin objechawszy wszystkie stanowiska i przeświadczywszy się, że już wszyscy są na swoich miejscach dał znak umówiony. Pierwsze sześć harmat usadowionych naprzeciw największej z grobel ryknęło druzgocąc drzewa; odpowiedziały im drugie dwie baterje, a tysiąc siekier zarazem uderzyło w sosny. Niewesołe zapewne musiało być przebudzenie Opryszków wśród podobnego huku i trzasku. Ucichły działa po dwóch wystrzałach, wstrzymały się siekiery, a Worona przez blaszaną morską trąbę zawołał na rozbojników aby się

zdali na łaskę, bo są otoczeni. Żadna odpowiedź z ich strony nieprzerwała ciszy przez kilka minut. W tém na głównej grobli usłyszano tentent kilkunastu koni i wrzask : *hony! łowy! łowy! postoj Kiryło!* i nim piechota wydała ognia, jezdziec na rozpędzonym jak wicher koniu, wpadł w pośród harmat. Tam go dopiéro poznano, że to był Kiryło Łasun. Zawróciła się pogoń ścigających go Hajdamaków zrażona karabinowym ogniem który rzęsisto na nich puszczono i który kilku zwalił z kulbak. Już też i dzień rozświtał. Na trzykrotne wezwanie do poddania się, odpowiedział nakoniec grubijański i obelżywy okrzyk Hajdamaków, w którym ani nas ani naszych matek nieszczędzono. Znowu więc zagrzmiały działa i rozległy się po kniei siekiery. W kilka godzin, nieprzebyty zasiek otoczył legowisko zbojców, a kule harmatnie nagruchota-

ły na kępie mnóstwo sosen, rażąc łomami ludzi i koni. Usiłowali wprawdzie odstrzeliwać się z janczarek powyłaziwszy na drzewa; brała ich na cel i nasza piechota; ale bagnisko zbyt było szerokie dla ręcznej broni; ledwo kilku zabitych i kilkunastu rannych znalazło się z naszej strony.

Tak przeszedł dzień cały. Doradził Kiryło, aby za nadejściem nocy porobić kryjomo zawady na groblach z gałęzi, pniów, kołów i chrustu, wysoko sterczące, by na nich konie więzły; gdyż Watażka niechybnie zechce pójść na przebój. Na dobre nam wyszło, że usłuchano jego rady; albowiem, jak się pożniej okazało, Czartowus rozdzieliwszy swoich Mołodców na trzy hufce, umyślił owej nocy trzema zarazem groblami uderzyć obces na harmaty i drogę sobie otworzyć. Czatowaliśmy pod bronią podsłuchując najmniejszego szmeru. Wy-

rychtowano ku groblom działa nabite kartaczami. Owoż około północy dało się słyszeć zrazu ciche stąpanie koni, które zbliżając się ku groblom coraz dobitniejszem się stawało; aż nareszcie zatętniły groble od czwału kopyt a Hajdamacy wrzasnęli gromem: *Nute bratja! albo zdobuty, albo doma nebuty!* wypuszczając co siły. Dano się im zbliżyć żeby wszystkich ściągnąć na groblę, a rachowano, że uwięzną na poprzecznych zawadach. Huknęły nakoniec działa. Sądny dzień nastał! co kilka minut baterje odpowiadały jedna drugiej, jęki konających i rannych, stękania koni, łomot drzew druzgotowych rozlegały się po borach; a noc ciemna chwilowo połyskami wystrzałów armatnich rozwidniana dodawała okropności tej scenie. Trwało aż do dnia to piorunowanie. Był to nowy rodzaj gry, krwawej slepej-babki, w której puszkarze z zawiąza-

nemi płachtą nocy oczyma, trafiali kto się na strzał nawinął. Za rozświtaniem dopiero ujrzano jaką klęskę ponieśli Hajdamacy. Na każdej z trzech grobel leżało po kilkadziesiąt ludzi i koni zabitych, a w bagnach po kilkunastu utopionych. Na wielkiej grobli wpośród gałęzi i kołów któremi zatarasowana była, leżał uplątany i już nieżywy Watażka Seńko Czortowus; obok niego dogorywał koń przecudnej urody. Poznali obu Worona z Łasunem. Bogata broń i rzadkiej dobroci szabla którą przy nim znaleziono, stały się zdobyczą Księcia Marcina. Zaiste niebespieczna rzecz nosić oręż po czarowniku; a Czortowusa charakternikiem zwano. Kto wie, może w nim był jaki urok ciągnący właściciela do łupiestwa i grabieży; czego niestety! dał smutny przykład poźniej, zwyciężca Hajdamaków przy Mazepy mogile.

Z rozkazu Księcia zawołał Łasun przez Trąbę blaszaną, aby ci którzy chcą życie ocalić poddali się. Po chwili wyszło na groblę 36 Opryszków zdrowych a za niemi przypełzło ośmiu ranionych. Tyle ich tylko zostało niedobitków ze trzystu dobornych mołodców, i jeszcze kilku których w tręsawisku zagrzęzłych z pomiędzy kępin wyciągniono. Wzięto ich pod straż i kazano ubiór na wieśniacze zamienić siermięgi, a z każdego ich kaftana po kilkaset wypruto dukatów. Zajęto się wyciąganiem z bagna trupów i pobitych koni, odzierając jednych z odzienia, a drugich z kulbak; bo wszędzie mieli pełno pozaszywanego złota, srebra i klejnotów narabowanych w kilkudziesięciu dworach, cerkwiach i miasteczkach: Nakoniec grenadjerowie wejszli w ostęp Hajdamacki dla splądrowania go. Znaleziono w batowni 80 koni żywych a kil-

-kanaście zabitych; wywleczono trupów; broń i siodła poznaszano do paju, i zaraz zaczęto spisywać rejestra zdobyczy. Nadjechał Sędzia wojskowy z Instygatorem i kat z oprawcami; pierwszy dla napisania wyroku na trupów, drudzy dla znęcania się nad niemi. Żywych bowiem pojmańców, dla ciągnięcia obszerniejszych inkwizycij, wysłano natychmiast okutych i pod silną strażą do Indjów, tak się nazywały więzienia w twierdzy Połońskiej. Zabawiło tu wojsko do dnia następnego, a przez ten czas rozdzielono zdobycz między oficerów i żołnierzy; chłopom nawet dano po kilka tynfów. Nieprzepomniano ani szafarza sprawiedliwości ani jej wykonywaczów obdarzyć. Ci ostatni pomnożyli zysk swój znalazłszy w żołądku ćwiartowanego jednego Hajdamaki sto czerwonych złotych, które był połknął pozwijane w trąbki. Zreszto na-

stąpiło zwyczajne w takich razach rozwożenie po Miasteczkach i szlakach głów i ćwierci rozbojniczych; z czego więcej zaiste wstrętu i obrzydzenia dla podróżnych bywało, niźli skutecznego postrachu dla zaprzedanych piekłu zbrodniarzy. Wyruszyło wojsko na powrót przebierając się bliższą stroną ku wielkiemu szlakowi. Żołnierze szli ochotnie, gwarząc o świeżych przygodach i ciesząc się zdobyczą dla której nie zakrwawili rąk, bo armaty wszystko zdziałały. Przejeżdżając wedle piechoty, usłyszałem śpiewkę, której jednę zwrotkę dotychczas pamiętam;

Cóż będziemy robili,
Gdyśmy wartę odbyli?
Wezmiem flintę, patrontas,
Pójdziem na wieś kury kraść.

Oj! pomyślałem sobie, nie darmo was łapikurami zowią. A od łyczka

do rzemyczka, przy pogodnéj do rabunku porze, nie bylibyście lepsi od owych osełedcowych.

Dostawszy się do piérwszéj na gościńcu wioski, opuściłem wojsko i pospieszyłem do Połonnego. Tą razą obeszło się bez uczt i tryumfów dla nieobecności Księstwa Starostwa kazimiérskich, a bardziéj dla stanu Księżny Podstoliny koronnéj, będącéj na samém rozwiązaniu. Jakoż w dni kilka powiła córkę. A że z tego powodu wypadało Księztwu czas słuszny zabawić w Polonnym, przeto pożegnawszy ich, odjechałem do Równego, zatęskniony i serdeczną naglony skłonnością ku hożéj wdówce, Jéjmość Pani Teresie z Łasockich Rozembergowéj Miecznikowéj inflantskiéj.

— A! zawołałem, to się przecież Pan Starosta zakochał!

— Cóż to mniemasz, mój Dobrodzieju, że pod kontuszem mniéj czułe

serce bije jak pod waszemi francuzkiemi fraczkami? Tak jest mospanie, kochałem się żarliwie i poczciwie, jak przystoi miłować białogłowę, którą pragniemy pozyskać za dożywotnią przyjaciółkę. A już była i pora po temu, abym pomyślał a małżeńskiém postanowieniu; bo chociaż za dawnych czasów, ludzie nie tak się wcześnie żenili, bo i nie tak prędko starzeli jak dzisiejsi, wszelako do czwartego zbliżając się krzyżyka, i przyjaciele wmawiali, i ja też czułem, że nie dobrze samemu człowiekowi na świecie. Ale w czém zachodziła trudność, to w znalezieniu kobiéty, którаby się odważyła oddać rękę tak rozsławionemu hulace i zawadyi, jakim był Jegomość Pan Szymon Zakrzewski.

Tandem tedy Pani Miecznikowa trzymała czas niejaki na wodzy moje ku niéj zaloty. Była to niewiasta w kwiecie wieku, nadobnéj urody i niepospo-

litego rozsądku, a obejścia się grzecznego i cale udatnego, jak przystało na osobę wychowaną na wielkim dworze Książąt Lubomirskich, którzy wydali ją za mąż za ś. p. Jana Rozemberga Obersztlejtnanta nadwornéj swéj piechoty, i Miecznika inflantskiego, człowieka arcy zacnego i rodowitego szlachcica polaka, chociaż się po niemiecku nazywał. Z nim ja ścisłą niegdyś miałem zażyłość i przyjaźń, i prawie na moich ręku skonał. Będąc świadkiem przykładnego ich pożycia i małżeńskiej troskliwości, z jaką pielęgnowała długą chorobą nękanego męża, widząc szczéry żal i nie udane łzy, którémi zgon jego uczciła, powziąłem wielki szacunek dla Damy, który z czasem w serdeczne zamienił się przywiązanie. Po dwuletniém wdowieństwie, widząc, że nadskakiwania moje uprzejmie przyjmowała, powziąłem dobrą dla siebie otuchę. Ale mi

sola w oku byli dwaj gachowie, co się ustawnie kręcili koło ciepłej wdówki. Jeden z nich Jegomość Pan Kozyrski Vices-gerent łucki, a niegdyś lubelski Palestrant, wielce zarozumiała i napuszysta sztuka. Wymuszony w stroju, pstrzył się rożnobarwny, gdyby papuga, stąpał jako paw, kłaniał się jak jędor, siadał uroczyście, gdyby burmistrz, a gadał jak wyrocznia, niezrozumiały dla wielu, bo łacińskie i prawne wyrazy przepolaczał w potocznej rozmowie, a nawet w zalecankach do kobiet. Drugi zaś był niejaki Nowokrzyżski, Major z Regimentu cudzoziemskiego autoramentu. Ten niegdyś miał zostawać w służbie saskiej i walczyć w owej pamiętnej siedmioletniej wojnie, z którą przy lada zręczności występował na plac. Słodziutki, grzeczniutki, zacierał ręce jak aptekarczyk, kiedy skręca pigułki, wzdychał czule przy mojej wdówce

i oczy miłośnie zawracał. Ubrany krojem miemieckim, nadstawiał się pudrem i ogromnym harbajtlem, który jak kawał kija okręconego wstążką, spadał mu po grzbiecie i aż do pasa dochodził. Pierwszy z nich półmędrek przenosił mię okiem, mając za głupca, żem jego cudackiej mowy nie pojmował; drugi zaś plotkarz, dołki podemną kopał.

Wiesz mój Dobrodzieju, że miłość rywala nie cierpi. Jednakże przez wzgląd dla Damy i uszanowanie dla jej domu, znosiłem dość długo przygryzki tych Ichmościów, ale naostatek przebrała się miara cierpliwości, bo mi zalali sadła za skórę. Kto szuka guza, łatwo go znajdzie, a chcącemu psa uderzyć, o kij nie trudno. Koniec końców, rozprawiliśmy się z sobą na szabelki, i wyznać muszę, że mi tężej z kordem dotrzymał kroku jurysta niźli żołnierz. Tandem tedy we-

dle przysłowia, mądry przedysputował, ale głupi pobił, dałem mospanie obudwóm po kolei takiego haniebnego odkosza, jednemu po łapie, drugiemu po papie, że się ruski miesiąc lizać musieli. Ja zaś tymczasem wolne mając szranki, szturm przypuściłem do serca Bohdanki. Wzbraniała się nieco, przekładała i obawy swoje i skrupuły, wszelako nie czyniąc mi wstrętu. Aż nareszcie i namowy przyjaciół i wdanie się Księztwa, a trochę i serce, skłoniły ją do oddania mi ręki. Pobraliśmy się tedy, ni huczno ni buczno, bo dla wdowy, drużbowie, druchny i grajki nie przystoją; ale wesołe a przystojne odprawiwszy gody, pożegnałem dwór rowieński, wynosząc się z żoną nie za dziesiątą górę i za siódmą rzekę, ale po prostu o kilka staj od Równego, tu do tych Barmak, które ona przez zastaw trzymała, a które poźniej kupiłem na dziedzictwo od Księ-

cia Podstolego koronnego. Ale, ale, muszę ci też mój Dobrodzieju pokazać ciekawy kawałek: jest to list Jegomość Pana Vices-gerenta do Pani Miecznikowej Rozembergowej, w czasie zalotów jego pisany, który ona poźniej będąc już moją żoną oddała mi. Zachowałem go jako osobliwość; musi być w tej szufladce. To mówiąc Pan Starosta odsunął szufladkę od stolika i poszukawszy czas niejaki, wyjął staroświecki, niegdyś biały, atłasowy pugilares. Spełzłemi jedwabiami szydełkową robotą, wyszyty był z jednej strony Ołtarz, na którym płonęły dwa serca przebite strzałą; z drugiej w kwiecistym wieńcu cyfra S. M. Z. Rozwiązawszy wypłowiałą różową wstęgę opasującą ów upominek miłośny z augustowych czasów, poniosł go do ust, mówiąc: hej! hej! gdzie to te rączki co cię haftowały! i dobył półarkusz zżółkłego papieru, który dał mi do prze-

czytania. Oto jest ów ciekawy zalotności palestrantskiej zabytek.

„Wielmożna mnie wielce Mościa „Dobrodziejko! Gdy potylokrotne mo„je z osobistości komparacye, i ver„balne merita, w procedurze matrymo„nialnéj kanjunkcyi, u kratek trybuna„łu serca WW. Pani Dobrodziejki de„ponowane, nieodebrały dotąd z me„lodyjnych ust jéj pożądanéj repliki; „umyśliłem więc wstrzymywany na „akcesoryach, wezwać na konferencyą „sympatyczne sentymenta i adoracye „moje dla jéj persony, resplendującéj „inkorporowanemi w niéj perfekcja„mi, i uczynić literalną manifestacyą „affektu ferworu i zelozyi, które w pe„ktoralnych latifundyach moich od tak „dawna wysiadują supersessyą na rzecz „WW. Pani Dobrodziejki. Appellując „zaś do najwyższéj instancyi rozumu „i perspikacyi Pani mojéj, śmiem kon„serwować prezumpcyą, iż dekret

„chociaż kontumacyjnie ferowany nie „skondemnuje mię i owszem faworal„ną przyniesie mi solucyą.

„A ponieważ wakująca, po zgonie „ś. p. Miecznika inflantskiego konnu„bialna posada, wzbudziła o jej rękę „kilku pretendentów; heredowanie zaś „tak precionalnego remanentu nie po„dlega ani konkursowi potioritatis, ani „kompromissarskiej exdywizyi, a tyl„ko jednemu adjudykowane bydź mo„że; przeto najuniżeniej suplikuję „WM. Panią Dobrodziejkę, abyś ra„czyła kontrowersyjne współ-preten„sorów impetycye przeważyć na sza„li imparcyalnej Themidy, i personal„nym onych kwalifikacyom intrense„kwalny położywszy walor, zadekla„rowała, kto z nas legalnie formować „może prawo do aktoratu. A jako „niegdyś ów trojański Parys, niedy„widował na trzy porcye złotego jabł„ka, lecz jednej tylko z trzech bogiń

„kompetytorek Wenerze fruktu całko-
„witego przyznał possesyą; tak i WM.
„Pani Dobrodziejka owoc on rajski
„będący ninie w litygii, jednemu ze
„trzech aspirantów do skonsumowania
„reponować obligowaną jesteś, koncen-
„trując swoje wota na tego, który kor-
„dyalnego jej applauzu jest najgod-
„niejszy. Miałżeby nim bydź Jego-
„mość Pan Starosta?... Rekuzuję
„najmocniej, i admitować tego nie mo-
„gę. Bo czyliż tak delikatnych senty-
„mentów Dama jak WW. Pani Dobro-
„dziejka, zdoła akkordować estymę i
„konsyderacyą dla istnego gladyatora
„i pokulatora jakim jest ten parasita
„dworu rówieńskiego, którego wo-
„kcyferacye i klamory razić powinny
„subtelny tympan uszu kreowanych
„jedynie dla słuchania miłosnych in-
„flexyów, modulacyi i suspirów: i któ-
„rego impetyczne traktamenta i anti-
„scholarna cywilizacya, nasuwają su-

„spicyą o plebejuszowskiej proceden-
„cyi. Co się zaś dotycze Jegomość
„Pana Majora, usiłującego miodopłyn-
„ną elokwencyą konwinkować WW.
„Panią Dobrodziejkę o swojej inamo-
„racyi, a bez exhibacyi dokumentów,
„militarnym tylko uniformem chcące-
„go insynuować opinią o heroicznych
„swoich imprezach; taką mam jedy-
„nie do zrobienia względem niego de-
„lacyą, jaką powziąłem z oficyonal-
„nych kwerend i kommunikacyi: o to
„iż w owych siedmioletnich germań-
„skiej Bellony inwazyach i expedycy-
„ach, których tak pompatyczną czy-
„nić zwykł naracyą, zajmował on przy
„saxońskich kohortach officyum nie
„wielkiego splendoru, subalterna Me-
„dycyny, vulgo cerulika, a co gorsza,
„że jest apostatą cyrkumcyzyi alias ne-
„ofitą, o czém nawet familijna jego ko-
„gnominacya do supponowania podaje
„assumpt.

„Owoż jacy są antagoniści moi! „Modestya niedozwala mi produko- „wać się z egotycznym panegirykiem „abym nie popadł w kategoryą owych „indywiduów, o których mówią pro- „werbialnie, iż mają złych sąsiadów, „bo sami swéj famy są proklamatora- „mi. Ale na własną WW. Pani Do- „brodziejki deliberacyą zostawiam „zrezolwowanie tego argumentu, czyli „dyscypuł i socyusz znamienitych try- „bunalskich Mecenasów i juriskansul- „tów, licencyat i filar prześwietnej „Palestry, pareatelat i posesyonat z an- „tenatów téj prowincyi niegodzien jest „preferencyi nad owymi adwenami „ad fluminów Narwi i Jordanu, któ- „rych filiacya jest problematem, exi- „stencya enigmatem, a substancya tru- „dna do zlikwidowania kwestyą?.... „Konkludując tedy uniwersalnie ak- „ceptowanym axiomatem: *coedant ar- „ma toga*, to jest armatury z drogi

„ustąpcie dla togi, smiem suplikować „WW. Panią Dobrodziejkę, ażebyś „z sentencyonarza swego tym godnym „expulsyi intruzom, ogłosić raczył „awizacyą do reassumowania się z jej „domicyliów, fawore zacniejszego in„trommitanta. W expektatywie zaś „fortunnego perswazyi moich sukces„su, paląc aromatyczny serca holokaust „przedOłtarzem afrodyzyalnych wdzię„ków WW. pani Dobrodziejki i pro„sternując facyatę moję u jej pedesta„łów, submituję powolne służby moje „z głębokim respektem i akkomadacyą, „gotów na rozkazy.

„WW. Pani Dobrodziejki
„genuflektający adorator
„i uniżony sługa
„Roch Rogala Kozerski
„*V. G. Ł. mpp*“

— Prawda, że pocieszna odezwa, rzekłem skończywszy czytanie; jesz-

cze mi się nic podobnego widzieć nie trafiło. Niech Pan Starosta pozwoli mi ten list przepisać!

— Daruję ci go w oryginale mój chłopcze; może ci posłużyć za wzór jak będziesz pisał do swojej Bohdanki, a sam widzisz jak był korzystny dla Jegomość Pana Vices-Gerenta łuckiego. Tandem tedy, po ożenieniu się mojém zacząłem szczérze a pilnie pracować na kawał chleba; i było koło czego zakrzątnąć się, bo prócz Barmak, żona moja trzymała po mężu przez zastaw od Lubomirskich wieś osiadłą Matusów i Madyanową groblę w Smielanszczyznie o milę od Szpoły; ja zaś ze sprzedanéj w Słuckiem ojcowizny i z własnego na possessjach dorobku, mając kilkadziesiąt tysięcy złotych, zadzierżawiłem od książąt Jabłonowskich na Ukrainie Ossotę i Janówkę. Bóg naszéj pobłogosławił pracy. Bo chociaż z natury

nie jestem wędzigrosz, i ani gościowi szklanki wina, ni przyjacielowi pomocy, ni kwestarzowi opatrzenia, ni żebrakowi wsparcia, nie pomnę żebym kiedy odmówił, jednak mająteczk wzrastał z latami. Ale też rzetelnie powiedziawszy, za bezcen puszczali panowie owe złote ukraińskie dobra. Ja naprzykład, dzień panszczyzny po sześć groszy płaciłem. Wprawdzie nie warowano nam w kontrakcie bezpieczeństwa osób i majątków narażonych na azard z powodu zuchwalstwa czerni i nie miłego sąsiedztwa Siczy zaporogskiéj; lecz szlachta podlaska i mazowiecka; uboga a śmiała, wziąwszy sobie za godło: *kto nie waży, ten nić ma*, jak owi awanturnicy, co to gdzieś na koniec świata za złotem płynęli, puszczała się na los szczęścia, zbywając coraz ciaśniejsze po przodkach spadkowe zagrody, i szła na Ukrainę dorabiać się grosza, a czasem

dać gardło pod nóż hajdamacki. Najprędzej ze wszystkich porastali w pierze Gubernatorowie kluczowi i Podstarościowie folwarczni, bo ci tam ciągle mieszkali i mieli swoje handelki, przemysły i obrywki, częstokroć nie bez krzywdy włościan. Ja zaś z mojemi wolałem się dzielić, zjeżdzając tylko parę razy do roku dla odebrania arend, czynszów i danin, i dla spieniężenia pracy pszczołek, przychowku bydła (bo zboże bywało po niczemu) niżli zamieszkać w bogatéj ale smętnéj Ukrainie, któréj żona moja bała się jak grzechu śmiertelnego. Wszelako wzierałem w to jak najsurowiéj, aby chłopstwa nie ciemiężono, raz, że ucisk jest występkiem którym się brzydzę, a powtóre, że niwa ukraińska tak jest hojna, że każdemu, co chodzi koło niéj, wypłaci się sowicie bez wielkiego znoju i ludzkiéj krzywdy. Byli tedy i włościanie zamożni

i jam worki rublami ładował; a że przy orle żywią się ptaszęta, to i mój Podstarości matusowski Wątorkiewicz, przesłużywszy lat kilkanaście, wziął sam poźniej wioskę dzierżawą. Dobrze się nam działo z moją Teresienką; dostatek się przymnażał; ale Pan Bóg ani jednem nie pocieszył nas dziecięciem. Miałać ona z pierwszego małżeństwa dwie córeczki, Rozalję i Karolinę; lube dziewczątka, te więc obie głaskaliśmy i hodowali. Z czasem zdarzył im los zacnych ludzi, którym poślubione od nas zostały: Rozalja wydana za Macieja Leśniewskiego Miecznika sieradzkiego, zbyt wcześnie zmarła, zostawiwszy dwoje dziatek; Karolina zaś połączona z Antonim Frankowskim Stolnikiem wendeńskim, żyje dotąd; a płodniejsza od matki i siostry, urodziła pół tuzina synów i kilka córek. Musisz mój Dobrodzieju znać którego z nich, bo mieszkają na Wo-

łyniu. Owoż nieboszczka żona moja przekonała się w kilkanastoletniem pożyciu naszém, że djabeł nie tak straszny jak go malują; i że ów Pan Szymon, którego się zrazu lękała, posłuszniejszy jest na skinienie wachlarza, niżli na rozkazujący znak buławy. Bo mój bracie! w mojem zdaniu, ten podły, kto się znęca nad kobiétą dla tego tylko, że mocniejszy. Złych niewiast znać nie chcę; ale cnotliwe, rozsądne i piękne, kocham i uwielbiam. Raz tylko jeden popełniłem głupstwo i uchybiłem żonie; ale tego wiecznie żałuję i wstydzę się.

Miałem u siebie kilku przyjaciół opojów. Dawniej rzadko która pijatyka obeszła się bez palenia z pistoletu do celu; i my także wystrzeliwaliśmy tuze i kralki. Owóż podmówionemu od tych łotrów, zachciało mi się odbić kulą koreczek u trzewika żony mojéj. Kiedym jéj to oświadczył, rze-

kła;— dobrze; ale kiedy się mamy bawić, bawmyż się wszyscy. Wy pijecie, jam trzeźwa; niech mi podadzą szklankę wina, a sprobujemy się, ty mężu celuj do mego koreczka, ja do twojej zmierzę podkówki.— I stanęła z pistoletem w jednéj, a ze szklanką w drugiéj ręce. Ażem struchlał, mospanie! ujrzawszy kobiétę, która żadnego trunku prócz krynicznéj wody nie znała, niosącą do ust pełną szklanicę węgrzyna. Padłem jéj do nóg jak długi, przepraszając ze łzami za moje grubijaństwo. Nie dała się długo błagać, bo to była sama dobroć. Zawarliśmy szczéry pokój, a od tego czasu mój bracie, nigdy jéj żadnym uczynkiem trzezwy czy pijany nie obraziłem.

Tak tedy błogiém domowém szczęściem kołysany i gospodarstwem wiejskiém zajęty, przestałem w dworskiéj smakować polewce; tém bardziéj, że dobrodziej mój, ów książe Podstoli

koronny, zaczął coraz jawniejsze okazywać ślady podupadającego rozsądku przy wzrastającéj namiętności do kart. Poszły w kąt ulubione dawniéj tryszaki, chapanki, tryssety, kupce, wózki i szlifowane marjasze; a natomiast kwindecze i faraony wystąpiły na plac. Złoto przewalało się kupami po zielonych stolikach, a kredziane ogromne rachunki, mazane po całém suknie, przemieniały się na rękodajne summy. Zjawiły się jakieś nowe, nieznane, od psich głów figury. Ci to w sojuszu z domowymi zdrajcami, owładawszy pochlebstwem niedołężny umysł, darli i obrywali biédnego Księcia bez litości i wstydu. Aż serce bolało patrzeć na zmowne oszustwo téj bezczelnéj zgrai; a zaradzić temu nie mogłem; bo głos prawdy i przywiązania nie trafiał do przyćmionéj głowy. Usunąłem się więc powoli od nie miłego widoku.

Na Sejmiki też wojewodzkie zanie-

chałem uczęszczać, na których dawniej, nieraz szablica moja nasiekała zrazów, a czasem i samemu zdarzyło się z pokiereszowanym łbem powracać do domu. Bo też prawdę mówiąc, na tych Sejmikach działy się rzeczy, czasem śmiechu godne, ale częściej zgrozy. Panowie opajali szlachtę, a potém na harc ją puszczali. Pamiętam raz w Łucku, pod koniec Sejmiku, książe Podstoli koronny, prowadząc za sobą zgraję suszykuflów, zaszedł do winiarza i kazał wynieść beczkę wina; lecz kupiec oświadczył, że już żadnego trunku nie pozostało mu w sklepie, tak wszystko aż do lagru rozszynkował pomiędzy sejmikujących. Udał się zatém książe do sąsiedniéj Apteki; tam dla napitku podano ogromny gęsior Anodynu, który do dna rozczęstował pomiędzy zwolenników swoich. Nie jednemu kołkiem oczy stanęły, nie jeden łyknąwszy, rozdziawił paszczę nie

mogąc odetchnąć; ale mimo to, butel wysuszono co do kropli.

Inną razą widziałem szlachcica jednego ścinającego się ze czterema, którzy nań potężnie nacierali szablami. Było to na piętrze w korytarzu bernardyńskiego Klasztoru. Naprawiano właśnie podówczas mury, i ściana zewnętrzna kończąca korytarz rozwaloną będąc, ziewała obszernym otworem. Szlachcic ów naciśniony od następujących na siebie, cofał się żwawo i uskakiwał wzdłuż korytarza ku rozburzonej ścianie, aż nareszcie nie obejrzawszy się, że z tyłu przepaść, runął z piętra na ziemię i potłukł się haniebnie na gruzach tak, iż w pół żywego odniesiono do gospody.

Zdarzało się czasem że i nie szlachta uczęstniczyła w Sejmikach. Znałem jednego kowala, imieniem Hawryłę, któremu dziedzic sprawił wojewodzki mundur i przypasawszy szerpety-

nę, nazywał go w czasie Zjazdów o-wych, Panem Gabryelem Kowalewskim. Aże mówił dość płynnie i śmiało po polsku, więc nie domyslano się w nim farbowanego lisa. Chłop zaś sążnisty i silny nawykły do młota, machał szabla jak piórkiem i kiereszował po łbach rodowitą szlachtę, gwoli rozkazom pańskim. Przytrafiały się także niekiedy wypadki dość smutne, jak ów, który się zdarzył w Kamieńciu podolskim. Opowiadał mi o nim znajomy mój Makowiecki. W latyczowskim Powiecie we wsi Haluzińcach, zasiedlonéj drobną szlachtą która wszystka prawie nosi nazwisko wsi swojéj, jeden z panów Hałuzińskich zbałamucił żonę sąsiadowi. Obrażony mąż, złapawszy czułą parę na gorącym uczynku, chciał pomścić swéj krzywdy i rzucił się z kijem na zwodziciela; lecz ten młodszy i silniejszy, nie tylko że obić się nie dał, ale jeszcze przy

pomocy niewiernej małżonki ogromne sprawił cięgi zazdrośnikowi i stłukł go na winne jabłko. Skrzywdzony podwójnie, odszedł warząc gniewy i zemstę w sercu. Na Sejmikach podolskich, dwa przewodziły stronnictwa, jedno Książąt Czartoryskich, drugie Potockich. Zhańbiony mąż znajdował się w pierwszém z nich; do drugiego zaś zaciągnął się zuchwały ów chabal. Przypadek zrządził że się spotkały na ulicy koło Dominikanów dwie nieprzyjazne partje. Podpiła szlachta, zaczęła przegrażać i urągać sobie nawzajem, a nasz zwodziciel Haluziński, dufniejszy bezkarnością, jął się jawnie natrząsać z przygody biednego małżonka. „Mości Panowie bracia!“ zawołał ten do swoich, „błagam was na wszystko! pomścijcie się krzywdy mojej i całego mężowskiego cechu zniewagi! Oto ten łotr, ten urwis, nie tylko, że mi żonę uwiodł, ale jeszcze

mój szlachecki grzbiet sromotnie wyłatał. Błysnęły szable, rzucili się Czartoryscy na Potockich; ci ostatni mniéj liczni, cofnęli kroku w nieładzie; ale sprawca zwady, ów zalotnik, pochwycony został. Obalonego na bruk przytrzymawszy wydano na pastwę mściwemu mężowi, a ten głuchy na prośby, modły, zaklinania i jęki cierpiącego, tępą i poszczerbioną swoją szablą, odjął mu na zawsze możność hańbienia siebie.

Wszędzie dobrze, a w domu najlepiéj; tak powiadają ludzie, tego i ja byłem podówczas zdania. Zadomowawszy więc początem rozmyślać i filozofować nad nierządem naszym, nad zaślepieniem braci szlachty, nad dumą magnatów; a utyskiwałem na ciągłe zrywanie Sejmów, z których żaden pono nie doszedł za panowania ostatniego Sasa.

Umarł nareszcie August III. Jeśli w kraju nie było ładu za Króla, któ-

ry najczęściej w ulubionem Dreźnie mieszkał, nie lepiej też działo się w czasie bezkrólewia. Wyuzdana swawola, puściła się na bezprawia; najazdy domów, rozboje po drogach zagęściły się na pograniczu, a co gorsza, iż niektórzy ze szlachty nie wstydzili się rabusiów rzemiosła. Sądy kapturowe jak mogły powściągały te łotrostwa, i surowo niekiedy przestępców kaźniły. Ja sam jadąc za kupnem wołów na Pobereże, byłem w Winnicy naocznym świadkiem zdjęcia głowy przez kata niejakiemu Ociesalskiemu, który z dobraną zgrają czeladzi najeźdżał i łupił dwory w Wojewodztwie bracławskiem. Pojmanego na uczynku i skazanego wyrokiem Sądów kapturowych na karę miecza, chcieli odbić z rąk mistrza studenci licznej zawsze szkoły OO. Jezuitów winnickich, podburzeni przez synowców winowajcy, którzy byli ich współ-

uczniami. Ale Urząd kapturowy, przewidując co się knuje, pomieszał ich szyki podwoiwszy konwój, dla przeprowadzenia więźnia na plac kary. Spadła więc z karku niecna głowa na postrach jemu podobnych.

Przed nadejściem jeszcze Uniwersałów, któremi Prymas Łubieński wzywał wszystkę szlachtę z Ziem i Powiatów do przybycia na Sejm elekcyjny, wypadło mi, dla interesu z młodszymi bracią, jechać do Płocka, a po drodze wstąpiło się i do Warszawy, właśnie w czasie Sejmu konwokacyjnego. Jak się nam powiodło na tym Sejmie, jak dążąc do Płocka, trafiłem do Podolińca na Spiżu, już ci to dawniej mój przyjacielu nadmieniłem. Wróciwszy od granic węgierskich, stroskany losem starego Hetmana, odetchnąłem w Barmakach przy poczciwej żonie i po dawnemu oddałem się gospodarskim trudom.

WYJĄTKI

Z ustnego opowiadania, stoletniego Kozaka Nikity Korża, urodzonego r. 1730, Maja 30, z pism P. Skalkowskiego. Obaczyć Журналъ Министерства народнаго просвѣщенія, 1838 *Czerwiec str. 487 seqq. udzielone przez Teodora Narbutta.*

Siecz (1) w całym kraju zaporożskim była jedna; w ostatnich czasach Nowa — Siecz, leżała nad rzeką Podpilną, przy jéj ujściu do Dniepra. Dziś na tém miejscu wieś Pokrowskaja, od Cerkwi sieczowéj, pod tytułem Pokrowy Prepodobnéj Bohorodicy. Rzeka Podpilna tak jest głęboka przy ujściu; że łodzie Zaporożców na nią wygodnie wpływały, mając przystań w każdéj porze roku dogodną.

W Sieczy się znajdowało 40 Kureni, każda z Atamanem Kurennym, do niego należało zaś 1,000 Kozaków, a w innych Kureniach było i więcéj, nie rachując tych, którzy po chutorach mieszkali w całym kraju, lecz oni rachowali się każdy do swego Kurenia. Opowiadacz spamiętać mógł nazwania następnych Kureniów: kaniewski, lewuszkiwski, plachtiewski, sczerbinowski, płastuniwski, perejesławski, gruszkowski, diadkowski, umański, derewiański, korsuński, koniwski, hadiucki, werbecki, szustunewski, myszuływski, paszkowski, połtawski, i t. d. Głównym dowodcą był Ataman Koszowy, za pamięci Korża nazywał się Kałnysz, za jego rządu attak Sieczy przypadł. Drugim wysokim urzędnikiem był Sędzia, Kasap; trzecim Pisarz, Hłoba.

Wciąż nad granicą za lewym brzegiem Dniepra była linja redut, czyli

Kureni oszańcowanych, jedna od drugiej 10—30 werst odległych, aby widziane między sobą bydź mogły. Opisanie takiej Kureni, zupełnie podobnej do sieczowych, tylko w mniejszym rozmiarze, bo na 50 Kozaków, jest takie: — Izba obszerna bez żadnych wewnątrz przegródek, czyli przepierzeń z piecem chlebnym bez komina, to jest kurna; przy niej sień z komorą na skład. Ten budynek oprowadzony parkanem, miał na dziedzińcu stajnię dla koni, wrota jedne. Całą obroną był parkan, a niekiedy rów okolny. W tych redutach ciągle przebywali Kozacy hetmańscy, różniący się od Zaporożców — czapkami polskiemi, na cztery rogi. Przy każdej reducie stała figura, to jest stos z beczek smolnych, w pięć w zwyż, dolny rząd pomiesczał ich sześć, drugi pięć, trzeci trzy, czwarty dwie, piąty jedną. Cała zaś ta kolumna umocowana była li-

nami smołą naprowadzonémi, do wierzchnéj beczki sięgał sznur lontowy aby w moment zapalić można było od góry. W razie przeto napadu Tatarów, gdy piérwszy redut postrzegł nieprzyjaciela, zapalał swoją figurę i toż czyniły dalsze po całéj linji, dla ostrzeżenia mieszkańców i zebrania się wojska kozackiego do kupy; Hetmańscy się łączyli z Zaporożcami i odpierali napad. Pilnowano wyniosłych kurhanów po stepach, albowiem Tatarzy wprzód w 10 lub mniéj nieco koni wjeżdżali na te wyniosłości, aby upatrzyć gdzie się stada pasą, lub ludzie są na robocie. Kozacy zaś obserwujący z kurhanów, zawsze po jednemu się na nich pokazywali, dla różnicy od tamtych. Małe napady tatarskie prawie były codzienne, po 20 lub mało co więcéj ludzi. To nie robiło trwogi powszechnéj.

Attak Sieczy.

Siecz w roku 1775, została attakowaną przez rossyjskiego Generał Porucznika Tekeli. On przybywszy z wojskiem na Dniepr, dał rozkaz wszystkim półkom swoim, rozkomenderawawszy je jak należy, aby się zbliżając do Zaporoża, w jeduym dniu, na same Zielone Swiątki, w Maju zajęły wszysłkie nad Dnieprem zaporożskie przedziały; sam zaś ze swoją dywizją i liczną Artyllerją także w ten sam dzień, przybliżył się do Sieczy, przed którą o dwie wersty stanął, na miejscu odkrytém i rozbił swoje namioty. Wtedy kazał ustawić w linją całą swoję Artyllerją na przeciw Sieczy, nie czyniąc wszakże ani jednego strzału; jakoż i ze strony Kozaków nie było żadnego sprzeciwiania się, czyli remonstracji. Postawszy tak przez dwa dni, dowiedział się przez gońców, co i Zwierzchności sieczowéj wiado-

mem się stało, że wszystkie Palanki, miasteczka i Słobody po całem Zaporożu, zajęte już były przez Rossjan. Na dniu trzecim Tekeli posłał swego do Sieczy gońca, zapraszając starszyznę do siebie w gościnę, Odebrawszy taką wiadomość, Koszowy zebrał wszystkich Atamanów kurennych na schadzkę i począł mówić: „*A sczo panowe Atamany, teper budem robity? Ot Moskal u hosty nas klicze; czy ne pidem? Czy otdamo Sicz Moskalowi, czy nie otdamo?* — Wtedy Atamany, Watiażki i dalsi Charakterniki (2), poczęli między sobą rokoszować: jedni zgadzali się poddać, drudzy się przeciwili w nadziei swego charakterstwa i mówili:

— *Nechaj Tekeli prywede jescze stałki wijska, jak sie, to my wsich w puch perebijem, jak much peredawym! Czy to można Sicz i sławnoje Zaporżie Moskalowi oddaty za spasibo? Seho Niko-*

ły, poka świt sołnca ne bude!" Takimi śmiałkami byli Sirami (3), Burłaki i nie żonaci, gdyż oni żadnej osiadłości nie mieli, dla tego się buntowali; lecz większa część tak z Atamanów, jako i z bogatych Kozaków, mając żony, dzieci i różne porządki zamożne w zimowiskach swoich zewnątrz Sieczy inaczej myślili; oni mówili:—„*Chot'my wijsko Tekelewo, nachodiuczeje się teper w łagerach i iztrebim, bez nużno do nohi; no to bieda, szto tie potki, koi ustupiły uże w naszy władenia, zaniały wsi palanki i słobody usłyszaw naszy protiwlenija, rozorjat', naszy wsi tamosznyi pożytki, a żen i detéj naszych peredadut smerti.*" Dla tego się nie zgadzali na zdanie rokoszujących. Nadto będący w Sieczy Archimandryt, dowiedziawszy się o takowéj zdań niezgodności wyszedł z Cerkwi do nich, w całym służebnym aparacie, z krzyżem w reku i mówił:

„Ubojtesia Boha! szto wy dumajetie, dieti, wy Chrystijanie, a żażdate proliwat' krow jedyno-utrobnuju! Wy Chrystijanie, a podymajetie ruku protyw chrystijan! Ubojtesia Boha! perestańtie! Widno wże sud'ba nasza takowa i my widym od Boha dostojnaja po dietam naszym. Wot wam krest i razpiatije na nem: jeżli wy jeho nieposłuchajetie, to wse nezapno pohybete." Na takie przerażające przemówienie, wszyscy truchleli, poczęli płakać nie tylko rokoszowi, ale wszyscy starsi i wojsko, wnet odpowiedzieli Archimandrycie: — *Nu panocze, bud' tomu tak*; *znaw ty sczo shuzały. My hotowy za tebe i hołowy naszy położyty, nie tylko posłuchaty.* „Albowiem oni mieli sczególne uważenie dla Archimandryty i dla całego Duchowieństwa, jedynie z tej przyczyny, że dawniej Archimandryta ze swoimi Jeromonachami z kolei na każdą Niedzielę mawiali w Cer-

kwi, z pamięci, bardzo wymowne kazania w ich kozackim dyalekcie; będąc za to sczodrze nadgradzani od Zaporożców.

Nastąpiły znowu narady w kole, a po rozwadze i zgodzeniu się na jedne zdanie wszystkich, powiedzieli do Koszowego: — „*Nu bat'ku, welmożny pane! teper jak chocze, tak i dumaj, z simi host'mi, a my hotowy tebe słuchaty. Czy idty? to idty.*“ Wówczas Koszowy powiedział: — *Nelzia, bratcy, ne idty; bo wze sia ne durnycia* (*4*)*; wy samy baczete, sczo Moskal nas atakował kruhom i artyllerju wsiu na nas uworużyw; uże se hosty takije, sczo piszowszy do nich, wrad'li nazad wsi wernemoś. No byt' tomu tak, ne czeho uże dowsze dumat'! Hospodi pomoży! Daj Boże czas dobry! Chodym, panowe atamany! Sczo bude, to bude; a bilsze bude, tak jak Boh dast'.*

Poczém wziąwszy chleb i sól po-

szli wszyscy do namiotu Tekelego, któremu podawszy na talérzu drewnianym, rzekli: „*Kłaniajemsia Waszemu Prewoschodytelstwu chlibom i soliju*!„— Dziękuję, Zaporożcy, za chleb i sól,—odpowiedział Tekeli i kazał lokajowi przyjąć talérz od nich. Potém zapytał; kto z waś Koszowy? Jacy u was piérwsi urzędnicy i jak się nazywają? — Gdy zaś Koszowy stojący na przedzie odpowiedział, że on Koszowy nazwiskiem Kałnysz, po nim Sędzia Kasap (5) i Pisarz Hloba, a dalsi są Atamani kurenni, przełożeni nad czterdziestu Kureniami;—Tekeli posadził Koszowego przy sobie na dywanie, innym ukazano miejsca dalsze. Uczęstował wszystkich sniadaniem sutém i poszedł z nimi do Sieczy, towarzyszony przez liczne grono swoich Officerów i straży przybocznéj; widząc zaś że Zaporożcy zdają mu się

dobrowolnie, kazał w tejże chwili swoją Artyłlerją zakryć.

Gdy Tekeli przybył do wrót Sieczy, zapytał: — Gdzie ty mię, Koszowy, naprzód zaprowadzisz w gościnę? — Wtedy on nizko się ukłoniwszy, zaprosił Generała z całym jego Orszakiem do swego Kurenia i zastawił sutą ucztę, ale na drewnianych Waganach i Koriakach (6), talerze i łyżki także były drewniane. Po obiedzie Tekeli bardzo mile dziękował za ugoszczenie, ale się dziwił nadzwyczaj, że cały sprzęt stołowy, nawet naczynia do napoju były drewniane; jedzenie zaś nadspodziewanie smaczne i doskonale przyrządzone, zapytał przeto: — Kto u was tak smaczno gotuje? — Koszowy odpowiedział: — *U nas jest', Wasze Prewoschodytelstwo, u Kureniach oczeń dobryje Kuchary.* (7) Tekeli prosił Koszowego aby mu pozwolił jednego z takich kucharzy, obiecu-

jąc mu naznaczyć dobrą zapłatę; Koszowemu zaś obiecał dać dwie misy fajansowe i każdemu z Atamanów po jednéj; dodając: żeby tak wyborne pokarmy nie jedli z koryt, ale z mis. Przy jakowéj deklaracji będąc obecnym jeden z Atamanów kurennych, nazwiskiem Stroć, odezwał się temi słowy: — *Wasze Prewoschodytelstwo! chot' z koryta, da dosyta, i chot' z bliuda, da chuda.* — Tekeli zapytał Atamana: — Co to za dyalekt? ja go nie rozumiem. Stroć pokłoniwszy się, zaczął objaśniać przysłowie: — *Izwinite mene, Wasze Preuoschoditelstwo, Wy trapezu izwolite kuszat'z bliud da licem chudy. A my iż koryt jemo da syty.* Jakoż najwięcéj starszyzny było znacznie otyłych; Tekeli zaś lubo słusznéj postaci, ale nadzwyczaj wyschłym wyglądał.

Po obiedzie Tekeli nim pożegnał Koszowego i Atamanów, zwiedzał

wszystkie Kurenie Zaporożców, przypatrywał się ich sprzętom, naostatek powrócił do swego obozu. Tam przebywał spokojnie więcej tygodnia, w jakowym przeciągu czasu Officerowie ruscy i sołdaci bywali w Sieczy, a Kozacy i ich Atamani zwiedzali oboz, jedni z drugimi bawili się i obcowali w zgodzie, bez żadnego przymusu. Poczém Generał zawołał do siebie Koszowego, Sędziego i Pisarza, którym przeczytał Imienny Cesarzowej Ukaz i kazał wszystkim trzem przygotować się w drogę do Petersburga; co wkrótce przyszło do skutku; lecz nie wszyscy wyjechali, albowiem Sędzia Kasap wnet zachorował i umarł, pochowany w Sieczy, a Kałnysza z Hlobą wysłano. Tekeli zaś całą zaporożską Palestynę (wyraz opowiadacza) przyjął pod własny zarząd. Kazał wszystkim Zaporożcom przysiądz i uporządkował wszystko, po swojemu. Z tego wzglę-

17*

du począł już bydź zupełnie bezpiecznym, ale mieszkał ciągle w obozie.

Tym czasem Zaporożcy widząc, że ich Naczelnik odesłany do Stolicy, a ruskie zwyczaje i porządki pokazały się im nie do smaku, mocno się zachwiali i poczęli myślić i rozprawiać: *Kakby Moskali u szory ubrat', a samym leś dalsze wandrowat'* (wędrować). Zmyślili rzecz taką: wybrali 50 Kozaków i posłali do Tekelego w gościnę z chlebem i solą. Przyszedłszy przed Generała mówili: — *Kłaniajam sia, wam dobrodiju, chlebom i siliju.*— Dziękuję, Zaporożniki, za chleb i sól! odpowiedział Tekeli. — Co wy mnie powiecie? — *A wot sczo, dobrodiju*; *my czuły, sczo nam wże bez pismennoho wida i biletiw niemożna ni kudy iz Siczy otłuczat'sia?* — Tak w rzeczy samej, Zaporożniki, nie wydalajcie się nigdzie bez mojej wiedzy. — *To dla tohoż to wedomo, Pane, my i pryszły,*

sczob nam chot' adyn bilit na wsich napisaty: bo my budem kupy deržat'sia i ni kudy w rož nerazpływemos. — Dobrze, dobrze; mówił Tekeli. — A jakże u was dawniej bywało? — *Da u nas, Pane, sich bilityw ni koły ne bywało; ni bat'ki ni dydy naszy ich ne znały i pradydy ne czuwały, a chto kudy chotyw, tudy iszow i jichaw.* — Gdzież wy teraz chcecie iśdź z biletami? i po co? zapytał Tekeli. — *W Tuligul* (8) *dobrodiju, na zarobotki do Liamy: bo u nas nemotyma ni soroczki ni czoho, jak baczysz, hołaja sirama; a sczež treba bude, može koły nibud'; podusznoje zapłatyty, to i panom chot' trochi udyłyty.* — Wówczas Tekeli głośno się rozśmiał i powiedział: — Idźcie, Zaporożniki, z Bogiem! zarabiajcie dla siebie i dla skarbu Monarszego zbierajcie pieniądze. — *Czujem dobrodiju, czujem!* — I pokłoniwszy się mu wszyscy Kozacy razem, poszli do Kancella-

rji Sztabu, Tekeli zawoławszy Adjutanta, kazał wydać bilet na 50 Kozaków. Co gdy im udzielono, zabrali broń i worki (*Kłunki charczewyje*) z żywnością, wzięli kilka łodzi naładowanych rzeczami, wybrali się sekretnie w nocy, nie tylko ci, którym bilet był dany, ale i bezbiletowych tyle, ile się w łodziach pomieścić mogło, około tysiąca ludzi w ogóle i popłynęli na Tuliguł. Po kilku dniach przyszło jeszcze 50 Kozaków, takimże sposobem prosząc o bilet, który z łatwością otrzymali. Dalej widząc, że nie ma wzbronienia w wydawaniu biletów, znowu podobna partja sobie wyrobiła; zawsze cichaczem na łodziach uwożąc z sobą bandy tysiączne; słowem nie zadługo przyszło do tego, że cala Siroma, to jest kozactwo nieżonate, ze wszystkich czterdziestu Kureni wyjechało za granicę do Turka,

W ostatku Officerowie Tekelego po-

strzegłszy, że w Sieczy już mało widać Kozaków, doszli ich przewrotności i donieśli swemu Generałowi. Tekeli rozgniewany mocno, poszedł do swego namiotu i zostawał tam długo w głębokiém zamyśleniu pogrążony, że z nikim nie rozmawiał i nigdzie nie wychodził przez dzień cały. W tym razie przyszli do niego i ostatni, w małej liczbie pozostali sieczowi Kozacy. Pokłoniwszy się z chlebem i solą, według swego zwyczaju, mówili: — *Każy i nam, Welmożny Pane, wydaty bilit na zarobotki.* — Dokąd wam bilety, niegodziwe Zaporożniki? zawołał z gniewem Tekeli.— *W Tuliguł, Pane, do Liamy.* — W Tuliguł, w Tuliguł, a miasto puste zostawili, nie każę nikomu z was dawać biletów. — I przepędził ich z oczu swoich. — Jednakże choć bez biletu — *Zakiwali piatami.* — mówił opowiadacz i podziękowali za chleb i sól. Tekeli kazał zawołać do

siebie wszystkich kurennych Atamanów, lecz ich nie znalazło się więcej nad dziesięciu. Zapytał: dla czego nie wszyscy przyszli? — *Jakże nam, Pane, wsim pryjty, koły nema nikoho po kureniam: atamany, pane, razjiehatyś po zimownikam, a Siroma bez westy razbrełaś. Da i my dumajem po domam; szto my tut' budem kommandowaty? Starszynu ot nas otobrały i kozackoho wjiska nema.* — A gdzież wasze wojsko, gdzie wasze Kozaki? — zawołał Tekeli. — *Jaki Pane, de? A wżeż wy im bility podawały na zarobotki, tuda de ryba ni po czem ni w Tuligut, czy sczo!* — Tekeli rozgniewany na Atamanów, wypędził ich z namiotu swojego. Naostatek przepędziwszy czas niejaki w obozie przy Sieczy, wyjechał do Stolicy, a wojsko jego stało na Zaporożu lat siedm.

Ci Kozacy którzy wyszli do Turka, przyjęci zostali z gościnnością, gdzie i

utworzyli sobie nową organizacją, pod nowo obranym Atamanem koszowym, dano im ziemię na osadę nad ujściem Dunaju, zamożną w rybę i zwierzynę. Tam się utrzymali do ostatniéj wojny Rossji z Turkami, za Najjaśniejszego Cesarza NIKOŁAJA, któremu w opiekę się oddali dobrowolnie pod naczelnictwem Koszowego Atamana Józefa Michajłowicza Hładkoj, a w obecnéj porze (1831) składają azowskie kozackie Wojsko, którego część jedna stoi po kwaterach w różnych wsiach dnieprowskiego Powiatu, a druga na granicy tureckiéj.

Przyczyny kasaty wojska zaporożskiego i ich Sieczy, znajdują się w Manifeście Cesarzowéj Katarzyny II, 3go Sierpnia 1775 ogłoszonym. Z raportu Generał-Porucznika Tekeli pod datą 6 Czerwca 1775, do Najjaśniejszéj Cesarzowéj dowiadujemy się, że 4 Czerwca bez najmniejszego oporu za-

jął Siecz; koszowego Kaniszewskiego, Pisarza Hłokę i Sędziego Hołowatego aresztował, Artyllerją i statki na rzece Podpolnéj zabrał i 3,000 Kozaków, będących w Sieczy, którzy widząc aresztowanie swoich naczelników niezwłocznie broń złożyli.

Przypisy, dodane przez Teodora Narbutta.

1) *Siecz*, właściwiej *Sicz*, czyli *Sidcz*, od słowa *Sidet'*, siedzieć. Rezydencia.

2) *Watiażki* i *Charakterniki.* Byli to prawdziwi Kozacy, według starożytnego ich powołania, nieżenni oraz ciągle w Siczy przebywający, i żadném inném zatrudnieniem nie zajęci. W czasy zaś wolne od służby rybołówstwem i polowaniem żywność dostawali. Albo utworzywszy bandy pusczali się w czajkach na rabunki miejsc nadbrzeżnych, gdzie dosiądz zdołali. Inni na lądzie rozbijali Czumackie karawany, napadali na tatarskie tabuny, albo upatrzywszy porę, na polskie osady uderzali; rznęli żydów, szlachtę i Xięży. Dowódzcy tych band nazywali się *Watiażki* (walecznicy). W ogólności tacy Kozacy miani byli za Charakterników, to jest czarowników; podania o nich głosiły: że im żadna broń strzelna nie szkodziła, którą na same spojrze-

nie umieli zaczarować. Napadając na Zamki Polanów straże snem narzucali, lub puszczali takie tumany w oczy, że ich niemogły zoczyć. Sam Korża był tego mniemania.

3) Watiażki i Charakterniki mieli wyższe znaczenie, prości zaś Kozacy nazywali się *Siroma* i *Burlacy*, także niemający swéj stałej własności. Pierwsi zbior rozmaitych Słowian, lub Tatarow pochrzczonych wyobrażali, drudzy byli wielkorossyjscy przybysze.

4) *Durnycia*, Żart.

5) W urzędowym rapporcie Tekelego Koszowy nazwanym jest Kaniszewski, mogło to bydź jego nazwisko rodowe; Kozacy zaś często po swojemu przezywali się. W tymże rapporcie Sędzią nazwany jest Hołowaty, którego odwieziono do Petersburga; bo Kasap umarł wnet po ogłoszeniu ukazu, uderzony apoplexją, jak podanie gminne w śpiewie niżowym dochowujące się, dotąd głosi. Mógł więc Hołowaty bydź wnet obranym.

6) *Wagon* gatunek misy drewnianéj do korytka podobnéj. — *Koriak* czyli *Czerpało*, warząchа, łyżka podawalna. Mieli oni srébrnych naczyń nie mało, ale stary zwyczaj w Sieczy się zachowywał. A może nie chcąc poka-

zać przed Rossjanami swych bogactw, Koszowy zachował się przy starodawnym zwyczaju.

7) Zaporożcow było mnóstwo zbiegów, szczególnie z Podola i Wołynia ludzi dworskich, od Panów polskich i mieli przeto nie jednego kucharza uczonego, nawet w Warszawie.

8) Tuliguł rzeka wpadająca do morza czarnego wielkim Limanem, nie daleko stacji koblewskiej, w Powiecie teraz odeskim. Takoż dolina nad nią, już za dawną granicą turecką leżąca. Iść w Tuliguł do Liamy, znaczyło w mowie kozackiej, uciekać do Turka; bo oni Sułtana nazywali Liama, widać od Kałmuków powzięty sposob mówienia, którzy uciekają się w uciskach swoich do Liamy, naczelnika swojej religii. Zaporożcy dziwnie dobrane mieli wyrażenia figuryczne, im samym tylko znajome.

O Talarach bitych.

Talar bity po litewsku *Mustinis*, wziął nazwanie od wybijania, na talarach zagranicznych, szczególnie hiszpańskich, cyfry królewskiej, albo wyobrażenia S. Jerzego i daty roku. Kiedy w XVI wieku namnożyły się przez szalbierstwa żydowskie podobne grube monety srebrne, fałszowane, niekiedy mosiężne pobielane, lub ze złego srebra robione, Rząd chcąc temu zapobiedz, na wzór starożytnych monet *recusae* zwanych, kazał stemplować te pieniądze i takim tylko bieg w kraju zabezpieczał, a wywozu ich już za granicę państw Litwy i Korony wzbraniał. Znajdujemy po zbiorach monet

talary: a) z cyfrą Zygmunta I. czyli S. pod koroną krolewską, b) z cyfrą Zygmunta Augusta czyli S. A. pod takąż koroną, c) z obrazem S. Jerzego i datami ze srzedziny wieku XVI. Te ostatnie były uchowane w Mennicy wileńskiej, i są ślady o tém urzędowe. Stempel był około 5 linji cala litewskiego srednicy, kładł się na głównej stronie monety. Konstytucja na Sejmie krakowskim 1527 roku postanowiła o tém:

Quia vero praeter ipsam externam monetam, Swidnicni: magna etiam vis falsae monetae, tam in Regno nostro, quam etiom alibi excussa est, et excuditur in maximum damnum et detrimentum Reipublicae ipsius Regni et dominiorum nostrorum. Proinde, ne malefactores, cudendi illam deinceps et exportandi in Regnum occasionem habeant, providebimus, et braccatores (brakarze), *constituemus in civitatibus et oppidis; qui illam signent, et notam*

seu signum percussionis illi imponant, quo facilius cognosci ab omnibus et evitari possit." 1).

Tu zdaje się że na fałszowanej monecie cechy kładziono, przecież takiej nie zdarzyło mi się widzieć, wszystkie które widziałem, nacechowane były z dobrego srebra i ważne. Może ta ustawa w poźniejszym czasie odwrotne znaczenie miała.

TEODOR NARBUTT.

---

1) *Decreta in Conventu generali Cracovien. Omnium Regni ordinum edita. Anno Domini Millesimo quingentesimo vigesimo septimo.* Bez miejsca druku (*u Wictora w Krakowie*).

Zabytek mowy czesko-polskiéj z wieku XV.

Zygmunt Korybutt dowodząc Tuborytami, czyli Kacerzami czeskimi, ciągle miewał zasiłki w koniach, pieniądzach, ludziach ze swojéj ojczyzny. Co Król rzymski Zygmunt i Krzyżacy przypisywali Królowi polskiemu Jagełłowi. Ten na usprawiedliwienie swoje, dostawszy dwa listy, tu przytoczone, posłał Zygmuntowi, jako dowod, że jego samego i Krzyżaków stronnik, Swidrygiełło, wówczas, wielki Xiąże litewski, sprzyja Tuborytom. Król rzymski kopje tych listów przesłał wielkiemu Mistrzowi krzyżackiemu, Pawłowi Rupdorf. One się przecho-

wały w królewieckiém Archiwum po krzyżackiem; zkąd między innemi materjalami historycznemi otrzymałem ich przepisanie, wierne wprawdzie, ale trudno ręczyć, aby co do litery te kopje z kopji zupełną zgodność z oryginałem dochowały. Zatrzymałem tu zupełnie pisownię, bez żadnéj poprawy, tylko punktację dodałem gdzie niegdzie.

Teodor Narbutt.

Ex archivo regiomontano

Piérwszy List.

Osweczenemu knyežety, knezu Sigmundu Koributoviczu, knezu Lithowskemu, nassemu Synowczu zmyłełemu. bud, dan. Swidrigał z buožye miłosti weliky knyez lytowsky y Russky. Osweczeny knyeze, Synowcze nasz myleły, yakoz gst k nam posłał słuha sweho werneho meczka zakazugicze sie nam, y iake slybugicze nam pomahaty protyw nassim neprzeatołom se wssemy kohožby mohł przemoczy. A take klesak nato držiss wsseczke wisse pany y Capitany aby nam pomoczny byli na nasse neprzetele, z toho dyekugeme twemu Osweczeny, poneważ tak nasse dobre gednas y radyss, a my take to-

ho protyw tobie nechczeme zapomenuty, ale wsseczkym dobrim odczynyty y take zasie pomahaty, kdzeż tobie potrzebie bude; protož prosyme tweho osweczenye, aby nato czto prwe psane Capitany y starsse držel, yžby tuto gistu przeń, kteraz k nam magy poturdyli y posilili, nebo me chczeme wam take pomahaty, kde nas budete potrebowaty. Take prosyme tweho osweczenye aby gst meczkowy awyerzil wsseko, tczos bude od nas mulwity, tak vpłnye, yako bychme ssamy s tebu mulwili. Dan v nowiehradczy v Nedyeli po swatem Giežem Anno domini etc. XXX primo, per modum cordis. (29 Kwietnia, 1431 roku).

Take Synowoze miłi, yakož gst nam vzkazal Meczkem, abychme tobie peczmy vpzomohli: Wyecz že kdys opyeť Meczek sie zasie k nam wraty s dokonału rzeczy, tehda k tobye posleme s nassym posłem, a s Meczkem, wyedle nasseho Przemoženye.

Drugi List.

Czesnemu knyezy, knezu Prokopu wissemu Capitanu woysky Thaborskey, y take welmožnym y słautnym panom: panu dywussu Borzikowy, panu pautu Sowynskemu, panu Wilhelmu Kostcze, Podkomorzemu Czeskemu y panu Smytowe holytszemu, z buože miłosti welyky knyez lithewsky y russky etc. nassa przeń naprzed sprzitelskym pozdrowenym. Czesny kneze, a wyelmožny y sławiony panowe. Jakocz Knyecz Sigmund synowecz nas, brate waso, gest k nam posłał sweko werneho słuhu, a dobrze hodneko panossy Meczka, toho lista ukazatele, Dawagyecze nam wiedyety, a kteraz bigeste nam pomahaty chczyely na nasze neprzetele, kdzežby nam toho potrzebye było z thoho dyekugeme wasseg myłosty wyeliko y wyssoko, poneważ me take chczeme s wamy zasie przen gmyety, y wam po-

mahaty, kdzež wam bude potrzebye, protož, prosymy wasseg miłosty, aby geste ralepe vmyeli. Take prosymy wasseg miłosty, aby geste tomu to Meczkowy zowssen vpłnye dowierzily, tsož od nas s wamy mluwyty bude, yakož bychme samy s wassu miłosty mluwyli. Dan w Nowye hradczy w Nyedely po swatem Gyrzem. Anno Domini etc. trecesimo primo. (29 Kwietnia 1431 r).

Na kopji królewieckiej podpisano pod obudwóma listami *Cordo cum copia origin:*

VOIGT.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

